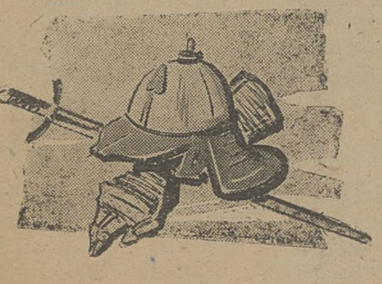
POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień | ***Dnia 18-go lipca 1942r.*** | **Rok IV. Nr. 29**

GRUNWALD



Wtedy—
Szły zakute w żelazo kolumny.
Szły chrzęszczące kolumny pancerne.

Ziemia pod nimi jęczała,
Ziemia pod nimi płakała,
W ziemię wbijali zboże,
Zboże pół jeszcze zielone
I w zbożu bławatki niebieskie.

Śpiące lasy budziły się ze snu,
Przerażone budziły się drzewa—
Brzozy, wierzby i dęby słowiańskie—
Przerażone uciekały w tył,
Przerażone chwiały się na wietrze.

I niebieska woda z sennych rzek
Uciekała bryzgami na brzeg,
Gdy żelazem wjeżdżali przez bród
Na wschód! Na wschód! Na wschód!
Niebo nad nimi bladło,
Wstydziło się, łuny rumieńcem.
A na niebie bladem i różowem
Czarne orły niemieckie,
Czarnym nad nimi wieńcem
Leciały, krakały z nieba—
Gdzie trup? Gdzie trup? Gdzie trup?

Wtedy—
Szły dzwoniące zbroją perszerony.
Konie-czołgi, czołgi z Meklemburga,
Deutsche Pferde, czołgi z Wirtembergii,
A na koniach, unieruchomieni
Wagą zbroi, rycerze z Nadrenii,
Ze Schwerinu, ze Strelitz, z Badenii,
Tupotały brygady rajtarii
Z Hessen-Nassau, z Koburga, z Bawarii,
Herren-rassa z Turyngii, z Saksonii,
Z Grössenwahnu, z Mordlustu, z Blutbadu,
Z Wogenprallu i ze Schwertgeklirru,
Z Donnerhallu, z Grossmaulu—i z Goty:
Z chrzęstem zbroi i z chrapaniem koni
Szły pancerne, nieodparte roty,
Ze Schwarzwaldu pod Grunwald. Z czarnego
Niemieckiego lasu—pod zielony,
Pod zielony słowiański las.

Wtedy—
Także mieli na sobie, nad sobą,
Na chorągwiach, w herbach i na płaszczach—
Krzyże czarne. Krzyż na białym polu.
Krzyż—lecz w ręku tego, co krzyżuje.
Znak cierpienia, które się zadaje.
Znak tortury—którą się wymierza.

Wtedy także—za nimi, przed nimi,
Naokoło, wokół tego krzyża,
Szła donośna głośna propaganda!
Szła na cały wielki świat kracząca
Propaganda—nawracania pogan!
Nawracania tych pogan słowiańskich—
Stokroć bardziej wtedy chrześcijańskich,
Niż ci, którzy ich nawracać chcieli.
Propaganda einer neuen Ordnung!
Propaganda des christlichen Deutschtums!
Propaganda misjonarskich zasług
W tym pogańskim zakątku Europy,
Propaganda wspaniałej i nowej
Tryumfalnej wyprawy krzyżowej—
Kraft durch Freude!! Gott mit uns!!
A na dnie
Propagandy niemieckiej—był głód!!
Głód podboju, głód krwi, głód potęgi,
I bezkarny sadyzm raubrytera,
Gdy mu łatwa droga się otwiera
Na wschód! Na wschód!! Na wschód!!

Lebensraum był w propagandzie krzyża!
Drang nach Osten—ten Drang ur-germański
Ku przestrzeni słowiańskiej-bezpańskiej.
Herrenvolk był w owej propagandzie,
Herrenvolk na górze nagich trupów,
Herrenvolk kraczący "ausrotten!"
By się tuczyć żniwem łatwych łupów.

Po ten łup, po te trupy, po te plony—
Szły zakute w żelazo kolumny,
Szły kolumny pancernych mas,
Szły chrapiące czołgi perszerony,
Ze Schwarzwaldu pod Grunwald. Z czarnego
Niemieckiego lasu—pod zielony,
Pod zielony słowiański las.

— — —

I zostali pod zielonym lasem,
Snem głębokim, najgłębszym uśpieni.
Nie wrócili do zamków dalekich,
W Badenii, w Saksonii, w Nadrenii.
Odartych z kolczug, nagich na polu,
Kruki dziobały i wrony.
Las nad nimi szumiał,
Las wszystko rozumiał,
Las zielony.

— — —

Była wojna z Niemcami.
Skończyła się sławną bitwą.
Wygrała ją Polska z Rusią,
I z Litwą.

Ty pamiętasz—że Zawisza Czarny.
Ty wspominasz—że Zbyszko z Bogdańca.
A to szaniec narodów od Bałtyku do Tatr.
I wola skupiona, zza szańca.

Kiedy przyszli pod ów Grunewald,
Zbroją pyszni, w pancerzach wspaniali—
Szaniec ludu powiedział im: halt!
Ni kroku dalej!

Wtedy oczy ich się zawarły,
Wtedy w nich gardła umarły
I śmierć nasyciła w nich głód
Przestrzeni.

— — —

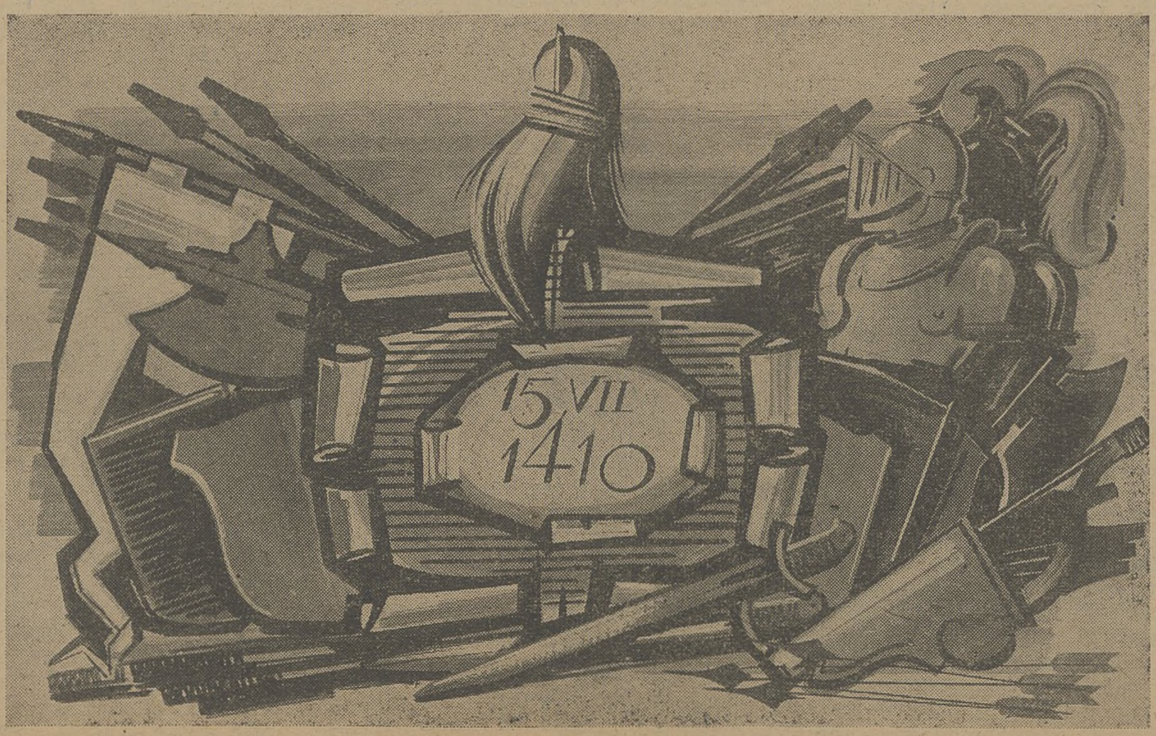
Przyszłość z przeszłości wyrasta
Jak drzewa korona liściasta—
Z korzeni,
Jak z korzeni wyrasta liść,
Co się w słońcu zieleni,
Lub spada z drzewa.

Kto przepowiedzieć umie
Przyszłość? Kto przeszłość rozumie?
Kto nam dzieje dzisiaj dośpiewa?

MARIAN HEMAR

"Gdy wytrąbiono hasło bojowe, wszystko wojsko królewskie zabrzmiało głośno pieśń ojczystą Bogarodzicę, a potem z podniesionemi kopiami pobiegło do bitwy. Ale wojsko litewskie z rozkazu księcia Aleksandra, który niecierpliwym był zwłoki, pierwsze ruszyło na nieprzyjaciela. Tak straszny za ich spotkaniem, z wzajemnego uderzenia kopij, chrzęstu ścierających się zbroi i szczęku mieczów powstał huk i łomot, że go na kilka mil w okolicy słychać było. Mąż na męża napierał, kruszyły się z trzaskiem oręże, godziły w twarz wymierzone wzajem groty. W tym zamieszaniu i zgiełku trudno rozróżnić było dzielniejszych od słabszych, odważnych od niewieściuchów, wszyscy bowiem jakby w jednym zawiśli tłumie. Ani jeden drugiemu ustępował pola, aż gdy nieprzyjaciel zwalony z konia albo zabity drogę otwierał zwycięscy. Gdy nakoniec połamano kopie, zwarły się z sobą tak silnie obu stron szyki i oręże, że już tylko topory i groty na drzewcach ponasadzane, tłukąc o siebie, przeraźliwy wydawały łoskot, jakby bijące w kuźniach młoty. Jeźdźcy ściśnieni w natłoku mieczem tylko nacierali na siebie, i sama już wtedy siła, sama dzielność osobista przeważała."

rys. Tadeusz Lipski



"Król zwiedziwszy pobojowisko, wrócił zaledwo wieczorem do obozu, skąd umyślnego gońca do królestwa polskiego z listami wyprawił, donosząc żonie swojej, Annie królowej, tudzież Mikołajowi Kurowskiemu, arcybiskupowi gnieźnieńskiemu, panom strzegącym zamku królewskiego, akademii i rajcom miasta Krakowa, o wielkiej Krzyżaków porażce i odniesionym nad nimi walnym zwycięstwie i nakazując z tego powodu dziękczynne nabożeństwa. Na znak zaś zwycięstwa i pomyślnego wojny wypadku, wysłany Morawiec wziął z sobą z rozkazu króla chorągiew biskupa pomezańskiego, mającą za godło św. Jana Chrzciciela w postaci orła. Gdy ten do Krakowa przybył i oznajmił o wielkim króla zwycięstwie, całe miasto z radością zabrzmiało po kościołach pieśniami na chwałę Boga, a przez całą noc błyszczały światła, okazując powszechną radość i pociechę. Huknął potem rozgłos tego zwycięstwa po wszystkich ziemiach polskich i w każdym mieście, w każdej wsi i miasteczku głoszono z uniesieniem i obchodzono ten świetny triumf, a w nim własną i powszechną kraju pomyślność."

/Z Jana Długosza/

Nowości lotnicze

Bardzo trudno naprawdę o nowości lotnicze. W tej technicznej broni, od której będzie zależało w zasadzie zwycięstwo tej czy innej strony—nic się nowego nie dzieje. Nic nowego czyli coś co było by w jej rozwoju naprawdę czymś zupełnie nowym i dotychczas niespotykanym, coś takiego choćby n.p. jak w 1918 roku wolno wiszące skrzydło, wynalazek, a raczej konstrukcja bodajże Fokkera nieboszczyka. Dopiero od chwili zastosowania tego skrzydła, którego nie opinały druty i druciki powodując najrozmaitsze opory—można było myśleć o maszynie powietrznej o takich własnościach, jakie dzisiaj posiada. Jednak samo zastosowanie linii opływowych, było już znane konstruktorom na parę lat przed Wielką Wojną.

Powie ktoś: a skrzydło o aerodynamicznym profilu? Odpowiemy: Nic nowego. Już Leonardo da Vinci domyślał się, że podciśnienie nad skrzydłem jest ważniejsze niż ciśnienie pod nim, pisząc o locie gołębia: "to co się dzieje na górze /skrzydła ptasiego/ jest ważniejsze od tego co się dzieje pod skrzydłem," a inż. Lilienthal nie tylko się domyślał, ale i wiedział coś niecoś o tajemnicy ssania i przed tragiczną śmiercią w tym kierunku szły jego badania.

Po prawdzie, to w konstrukcji samolotu żyjemy jeszcze ewolucją sprzętu inż. Adera z lat Pańskich 1875. Ta różnica tylko, że współczesny samolot jest szybszy, pewniejszy, i nosi na swym grzbiecie tuzin rozmaitych armatek i karabinów maszynowych, a laikowi, gdy spojrzy na tablicę rozdzielczą przed pilotem, mąci się w głowie od widoku dziesiątków zegarów, guziczków, hebli, manetek i t.d. które się na niej mieszczą. Jednak w dalszym ciągu działa na samolocie nie wbudowano, a bomby od czasów Wielkiej Wojny wcale nie są o tyle większe. Rok 1918 znał już bomby 1000 klg. Znał też małokalibrowe armatki szybkostrzelne, wbudowywane na samolot. Pierwszy w tej dziedzinie był inż. Sikorski.

Wprawdzie konstruktorzy jednej i drugiej strony walczącej odgrażają się co chwila, że są w posiadaniu wynalazków zupełnie epokowych jak n.p. samolot bez śmigła, czy samolot z ruchomymi skrzydłami, lecz w praktyce te dziwolągi nie pojawiają się na froncie, dzieląc losy z zapowiadanymi przez Goeringa samolotami niewidzialnymi i bezgłośnymi.

Natomiast niezmiennie wre walka w parlamencie brytyjskim: czy nurkowce czy tylko bombowce? Można by rzec, że jest to walka Air Ministry z wojskiem lądowym, gdyż lotnictwo nie chce budować bombowców, a wojsko chce je mieć koniecznie. Jeżeli chodzi o naszą opinię, to wyraziliśmy ją kilkakrotnie na tym miejscu, stając na stanowisku, że nurkowiec to sprzęt arcykosztowny. Każdy nurkowiec musi być ochraniany przynajmniej przez trzy maszyny myśliwskie, a i to nie wiele pomaga, bo nurkowiec nader łatwo zestrzelić można z ziemi. Zaś wynik bombardowania z lotu nurkowego jest w gruncie rzeczy na ziemi efektem moralnym, a szczególnie, gdy chodzi o niszczenie czołgów—prawie żaden.

Jedyną powietrzną bronią przeciwpancerną może być samolot z wysokokalibrowym, szybkostrzelnym działem, którego pocisk przebijałby bez trudu każdy pancerz, choćby najcięższego czołgą.

Dlaczego tedy Hitler nie używa takiego samolotu tylko nurkowców?—spyta ktoś. Po prostu dlatego, że go nie posiada i skonstruować nie jest w stanie. Inaczej dawno nie byłoby na froncie nurkowców, tylko samoloty z działami. Niemcy bowiem doskonale wiedzą, że nurkowiec w walce lądowej jest tylko bronią przejściową, której się używa, gdyż nie ma innej, lepszej, mniej kosztownej, mniej wrażliwej na przeciwdziałanie nieprzyjaciela.

Takich lekcji jak zestrzelenie w ciągu trzech minut wszystkich atakujących nurkowców w Libii i to przez eskadrę szczeniaków pilotów, pierwszy raz zaangażowaną w akcji—było więcej w ciągu tej wojny, tylko prześlizgnęły się w komunikatach bez oddźwięku. Gdyby ktoś zliczył ilość zaangażowanych przez Niemców nurkowców w czasie Dunkierki i porównał z ilością tamże zestrzelonych dowiedziałby się napewno, że straty sięgają 75%, może więcej?

Air Ministry nie chce nurkowców dla udziału w walkach na ziemi i ma w tym trochę racji. Nurkowiec jest i pozostanie bronią na wskroś morską. Skuteczność jego w walkach morskich nie ulega dyskusji. Ląd jednak wymaga czegoś innego. Tym czemś to działko na samolocie, działo w kalibrze 75 m/m i dużej szybkostrzelności.

Charles Morgan napisał kiedyś sztukę, graną nawet w Polsce w Teatrze Narodowym tuż przed wojną p.t. "Lśniący strumień." Mniejsza o treść i mniejsza o to, że ładnie była wystawiona przez Wilama Horzycę. W tej sztuce autor mówi o torpedach powietrznych czułych na pewne skale drgań głosowych. Owe torpedy sterowane nimi dążyły automatycznie do źródła drgań, a więc—motoru. Była to piękna bajka i bardzo przekonywająco napisana, tym piękniejsza, że potrzebne obliczenia przez 3 akty prowadziła Gorczyńska. Niestety rzeczywistość wojenna nie zna do dzisiaj dnia porządnej skutecznej torpedy powietrznej. Próby robiła jedna i druga strona, bez wielkich rezultatów.

Poza torpedami rozmaite inne pułapki, o których się laikom nawet nie śniło czyhają stale na pilotów myśliwskich i bombowych, w dole i na górze. Jednak znów wszystko to tylko doświadczenia, próby i improwizacje. Niczego skuteczniejszego od dobrego myśliwca, artylerii przeciwlotniczej czy balonów zaporowych nie wynaleziono.

Jedna tylko dziedzina uległa wielkiemu rozwojowi to jest dziedzina kamuflażu. W tym kierunku wiele interesującego się czyni, i tu fantazja ludzka ma szerokie pole do popisu. Miasta zmieniają swe położenie, zmieniają kształty zatoki, całe okolice ulegają zmianie byleby tylko zmylić bystre oko pilota. Można by rzec bez przesady, że na jedno prawdziwe lotnisko jednej i drugiej strony wypadają przynajmniej dwa sztuczne.

Owe tysiące samolotów, które Niemcy zniszczyli przy początku kampanii na lotniskach rosyjskich były to kukły z papieru, blachy i desek. Stały się jednak przyczyną wrażenia w sztabach niemieckich, że po takiej masakrze—lotnictwo rosyjskie musi być zniszczone. Tymczasem niebawem przekonali się Niemcy, że jest zgoła inaczej. Rozczarowanie było gorzkie. Ileż razy i nasi piloci narwali się na niemieckie podobne "kawały" w postaci sztucznych lotnisk, na których w nocy odbywał się pełny ruch! światełka kolorowe migały, mdłe światło dobywało się z nibyto źle zasłoniętych hangarów, nawet samoloty startowały i lądowały. Było to powodem zmarnowania wielu tych "*beautiful bombs.*"

Jednak ile samolotów niemieckich poleciało sobie w morze szerokie w świętym przekonaniu, że lecą na własne lotniska, zwodzone fałszywymi "beaconami" albo fałszywym "fix" to trudno zliczyć, gdyż prawdziwej cyfry nikt się nie dowie ani dziś, ani jutro, ani za sto lat.

Wojna w powietrzu trwa i prowadzona jest wszelkimi sposobami, lecz starym sprzętem. I nie wydaje się, by mogło nastąpić coś niespodziewanego. Każdy wynalazek doby dzisiejszej był albo przemyślany, albo wyfantazjowany na wiele pokoleń przedtem. Nie znam fantazji na temat lotnictwa, któraby prześcignęła rzeczywistość obecną, chyba mętne gadki w sławnym dialogu Platona, gdy mówi o Atlantydzie i o przejrzystych samolotach Atlantów poruszanych "myślą." Może także Wells nieco prześcignął naszą epokę wsadzając w "Wojnie powietrznej" Mr. Butteridge na samolot "o skrzydłach osy albo pszczoły" wirujących nieustannie. Samolot ten mógł utrzymywać się nieruchomo w powietrzu.

Samolot Mr. Butteridge gwarantowałby dużą celność w bombardowaniu, szczególniej w noc księżycową. Kiedyś się do tego dojdzie, lecz kiedy? Prawdopodobnie już nie w tej wojnie.

ADAM STERBAŁŁA

Szkic sytuacyjny

"BITWA DWÓCH RZEK"

Prasa brytyjska omawiając położenie w rejonie Woroneża dochodzi do wniosku, że parcie niemieckie kieruje się na południe i na wschód od Woroneża i że celem uderzenia niemieckiego jest dojście do punktu, gdzie rzeka Don zbliża się na odległość zaledwie 65 km. do rzeki Wołgi. Niektóre pisma londyńskie nazywają bitwę obecną, wydaną przez von Bocka armii Timoszenki "bitwą dwóch rzek."

Znawcy wojskowi W. Brytanii uważają, że celem ofensywy niemieckiej jest *rozdzielenie armii sowieckich* i dlatego postępy niemieckie śledzi się w Londynie z napiętą uwagą. Von Bock idzie "na całego," a koła sowieckie mobilizują ogół do nowego wysiłku. Rząd sowiecki nie zamierza ukrywać przed własnym społeczeństwem powagi chwili. "Prawda" moskiewska pisząc parę dni temu o położeniu na froncie streściła je w takich oto lapidarnych i męskich słowach: "Kraj nasz jest dalej w śmiertelnym niebezpieczeństwie wróg jest ciągle silny, a walka jaka nas czeka, twarda."

Timoszenko ma przed sobą zadanie, w którym musi okazać *cały swój geniusz.* Zdolność do tzw. *recovery,* a więc odzyskania sił, przyjścia do siebie, jest to zdolność znamienna dla armii i dowództwa sowieckiego. Byliśmy nieraz już świadkami tego procesu i wszystko przemawia za tym, że Timoszenko raz jeszcze okaże swoje wartości. Tym razem ma on przed sobą zadania poważniejsze może, aniżeli dotychczas. Ale jest to dowódca, dla którego kryzys jest odpowiednim klimatem.

Działania prowadzone przez Niemców w Rosji ciągle jeszcze nie przybrały formy *ofensywy na całym froncie,* jaką oglądaliśmy w roku ub. W tym względzie twierdzenie postawione przez nas kilka tygodni temu wydaje się dalej słuszne. Potwierdza je doskonały amerykański znawca strategii, mjr. Fielding Eliot, pisząc na łamach "*Sunday Expressu*" z dnia 12 lipca, że obecne operacje niemieckie nie dadzą się porównać z działaniami z r. 1941, kiedy cały front był w akcji. Mjr. Fielding Eliot wysnuwa stąd wniosek—logiczny i słuszny—że *Rzeszę nie stać dzisiaj na ofensywę starego stylu i że prowadzi ona działania daleko bardziej oszczędne w ludziach i sprzęcie,* działania na wybranych odcinkach, gdzie interes *strategiczny* gra pierwszorzędną rolę.

Doniesienia, jakie nadchodzą przez Stockholm powiadają, że istotnie armie niemieckie poczynają sobie dzisiaj—poza Sebastopolem, gdzie Niemcy nie żałowali materiału ludzkiego, ale i tam skoncentrowali niebywałą ilość dział, ażeby oszczędzić co się da na masakrze—daleko bardziej oględnie. Czołgi idą pod osłoną samolotów, piechota nie posuwa się bez "parasola" lotniczego. *Rzesza liczy się dzisiaj z krwią.*

Jest to zjawisko, które trzeba brać w rachubę. Niedarmo dr. Ley objeżdżając niedawno zakłady zbrojeniowe Rzeszy wołał wielkim głosem, że "*robotnik niemiecki musi wydać ze siebie wszystek pot,*" albowiem "każda kropla potu oszczędza kroplę krwi." Dr. Ley wołał, że za mało produkuje się sprzętu oraz, że "*nie można pozwolić na to, ażeby naród nasz wykrwawił się na śmierć.*"

PRYMAT FRONTU SOWIECKIEGO

Wyraziliśmy pogląd, że Niemcy w tym roku podejmują akcje raczej lokalne czy *ofensywy lokalne,* ale że nie uderzają na wzór r. 1941. Strategia niemiecka najwyraźniej zmieniła metody. O to nam tylko chodziło. Nie dowodzi to jeszcze, ażeby Rzesza nie dążyła do rozstrzygnięcia na froncie wschodnim i ażeby ten front zaniedbała. Nic podobnego nie napisaliśmy. Po prostu wynika tylko z obecnych uderzeń, że strategia niemiecka ma dzisiaj inne cele, ambicje i sposoby.

Pierwszeństwo frontu sowieckiego uznawaliśmy stale i nic się w tym nie zmieniło. *Każdy wie, że jest to front najważniejszy,* albowiem front najdłuższy, a więc front, na którym najskuteczniej wykrwawia się armia niemiecka. Jest to front walki ciągłej i czynnej.

Nie jest to jednak front *jedyny.* Wszyscy czołowi znawcy wojskowi W. Brytanii i Ameryki uznają, że są dzisiaj *trzy fronty, ściśle ze sobą związane: Rosja—Atlantyk—Egipt.* Istnieje ścisła współzależność między tymi trzema frontami. Pomoc dla Rosji idzie Atlantykiem, a wypady niemieckie na szlak arktyczny nie są obojętne dla losów tej pomocy. Sami Niemcy przyznają, że fronty te *są współzależne.* W niedawnej audycji dla żołnierzy niemieckich pocieszano ich, że "robi się wszystko, ażeby pomoc do Rosji nie była zbyt wielka i że troszczą się o to niemieckie okręty podwodne." Oto dowód, jak *Niemcy odczuwają napływ sprzętu brytyjskiego i amerykańskiego do Rosji.*

Atlantyk, to także sprawa tzw. drugiego frontu, którego stworzenie wymaga tonażu i pogotowia floty. Atlantyk to paląca sprawa opanowania szlaków, wygrania bitwy o te szlaki. Debata jaka toczyć się będzie w Izbie Gmin—debata tajna—dowodzi jak wielką, *żywotną rolę* odgrywa ta sprawa w strategii W. Brytanii.

Egipt i Libia to front, którego "znaczenie — cytujemy "Sunday Times" z dnia 12 lipca—zostało niedocenione niestety przez wszystkich sojuszników." Front to ważny i Anglia odpowiednio go dzisiaj ocenia.

Front sowiecki musi być utrzymany i co do tego nie ma dyskusji. Musi być także utrzymany front w Egipcie—i przesunięty dalej, na zachód, do Libji. Musi być wygrana mozołem bitwa o Atlantyk.

To, że front sowiecki jest najważniejszy nie znaczy, by inne fronty były daleko w tyle co do ważności. Armia sowiecka musi walczyć, musi nie tylko zadawać ciosy, ale musi przejść do przeciwuderzenia. To także jasne. Nie można powiedzieć, że gdyby armia sowiecka załamała się, to byłoby to gorsze, aniżeli zajęcie całego basenu Morza Śródziemnego. Jasne jest, *że ani armia sowiecka nie może się załamać, ani basen Morza Śródziemnego nie może zostać opanowany.* Albowiem posiadanie Egiptu i Suezu to rzeczy bardzo istotne.

Gdy walka o Libię przybrała niekorzystny obrót padły *słowa Roosevelta o długiej wojnie a premier Churchill w swej ostatniej mowie użył podobnych słów.* Wiedzą oni dobrze—któż może wiedzieć lepiej?—jakim *kluczowym punktem jest Suez.*

WOŁANIE O DRUGI FRONT

Opinia brytyjska domagała się i domaga stworzenia drugiego frontu. Z USA nadchodzą głosy, że im gorzej na wschodzie, tym prędzej trzeba stworzyć drugi front na kontynencie Europy. Cytowaliśmy już tutaj oświadczenie *Sir Stafford Crippsa* w odpowiedzi na te żądania. Sir Stafford uznał, że głosy ogółu angielskiego dowodzą pięknej i chwalebnej niecierpliwości i woli ryzyka, ale rząd *nie może dać żadnych zapewnień co do terminu.* Rząd chce równie gorąco jak naród stworzyć drugi front.

Oto stanowisko, którego słuszności nie sposób zaczepić. *Czyż można wątpić, że rząd brytyjski chciałby najszybciej stworzyć drugi front?* Czy można przez chwilę wątpić, że taki drugi front jest potrzebny, *konieczny,* że dla Europy pod jarzmem wroga front taki będzie hasłem i wybawieniem?

Są to rzeczy tak bezsporne, że nikt ich nie poważy się zakwestionować. Ale każdy uczciwie myślący człowiek wie, że ten drugi front nie może być stworzony *z dnia na dzień,* lecz musi być przygotowany. Ten front m u s i się udać. To nie może być *tylko dywersja,* to nie może być tylko wypad, to "nie może być Dunkierka" /słowa nie moje lecz angielskie/. Musi to być dojrzałe uderzenie strategiczne, niespodzianka, która porazi siły niemieckie. Front, który by się nie udał przyniósłby *nieobliczalne szkody,* przyniósłby depresję na kontynencie, spadek nadziei.

O takim froncie myśli rząd brytyjski. Myśli o froncie przygotowanym doskonale, froncie, który *uda się,* froncie, któremu odpowie w zgrany sposób kontynent. Rząd angielski poweźmie decyzję wtedy, kiedy uważać będzie to *za słuszne.* Opinia brytyjska woła o ten drugi front, ale rząd brytyjski zadecyduje *o chwili jego stworzenia.* I tak jest słusznie, albowiem tylko rząd ten i sztaby posiadają odpowiednie dane, karty i rachuby.

Takie czy inne *głosy dziennikarskie* nie mają tu oczywiście znaczenia. Ani chór najlepszej stawki dziennikarzy angielskich, ani artykuły Johna Gordona i Garvina i wszystkich luminarzy piśmiennictwą angielskiego nic tu nie wskórają. Prasa może krytykować, prasa może wyrażać swoje sądy, ale przecież *prasa, nawet taka wpływowa jak angielska, nie dyktuje strategii.*

Generał Sikorski powiedział niedawno słusznie, jakże słusznie, że stworzenie drugiego frontu nie może być dziełem przypadku. Powiedział też trafnie, bardzo trafnie, słowa o niemożności i niecelowości ulegania "demagogii" wołania o drugi front zaraz; teraz. Każdy strateg wie przecież co znaczy tak ważka decyzja, tak *wielka decyzja. Wojna to ryzyko, ale nawet ryzyko musi być rozsądne, obliczone, mieć szanse powodzenia.*

Dyskusja o drugim froncie będzie trwała i tak jest dobrze i słusznie. Ogół angielski będzie *naciskał* na rząd i tak być powinno. Nikt napewno nie życzy sobie, ażeby Anglia *czekała z założonymi rękoma*—napewno zaś nie ci, co wołali nie od dzisiaj o najwyższy wysiłek, *stały wysiłek,* którzy ostrzegali przed lekceważeniem wroga, przez łatwizną myślenia, przed lekkomyślnością. *Jesteśmy w wieku powagi,—powagi myślenia o wojnie.* Oczywiście, znajdą się ludzie /ale chyba nie w świecie angielskim, gdzie szanuje się powagę myślenia i szanuje się rozwagę/, którzy powagę nazwą pesymizmem, ale na takie sądzenie kategoriami uczuciowymi, zbyt niestety u nas powszechnymi, nie ma już rady.

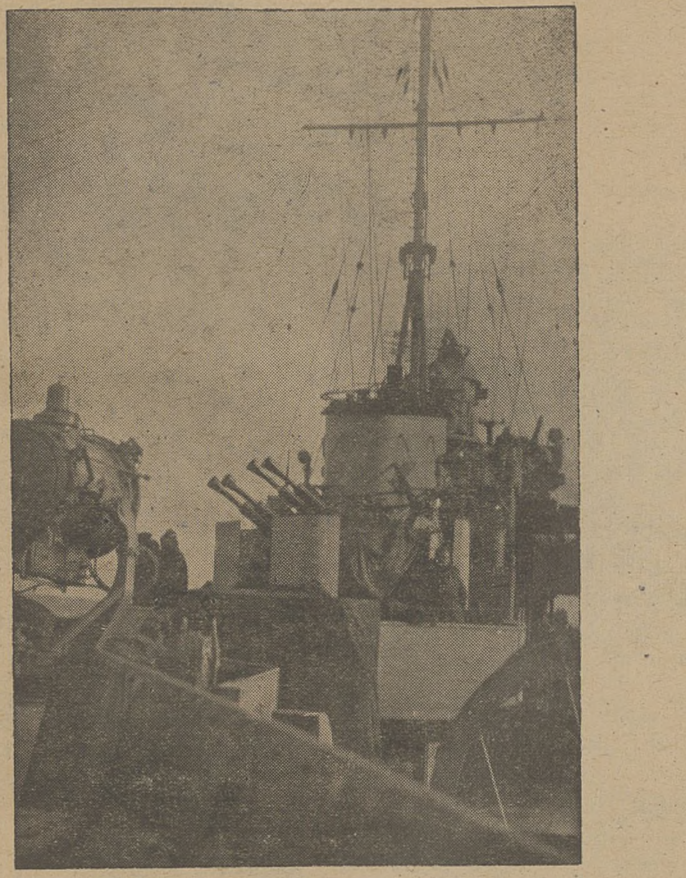
"*Optimism won't win the war*"—optymizmem nie wygra się tej wojny, powiedział John Gordon, nienajgorszy i czujny dziennikarz w "Sunday Express" z dnia 12 lipca. John Gordon powiedział już wiele rzeczy przykrych własnemu narodowi /w Anglii to wolno i nikt się o to nie obraża/ i miał wiele racji w swoich przepowiedniach. Wie dzisiaj naród angielski, że tani optymizm to tylko "*soothing syrup.*" Gardzi dzisiaj tym syropem naród angielski. Chce prawdy, a prawdę znosi dobrze. *Prawda, nawet najgorsza, jest dla tego narodu bodźcem.*

Powaga myśli, skupienie wysiłku, przekonanie, że musimy pracować, produkować, przygotowywać się i działać—oto program. Kiedy otwarty zostanie drugi front—nie wiemy. *Zadecyduje to rząd angielski i amerykański* w porozumieniu z rządami sojuszniczymi /bez radzenia się dziennikarzy/.

Londyn, 13 lipca 1942.

ZBIGNIEW GRABOWSKI

Pożegnanie "Kujawiaka"



O.R.P. "Kujawiak"

Przez rozwalone, opustoszałe ulice szliśmy do portu. Miasto było "podrąbane" niezgorzej. Przez wiele nocy z rzędu Luftwaffe prowadziła tu swoją niszczycielską robotę, zmiatając z powierzchni ziemi całe bloki zabudowań, a inne tuż obok zostawiając nietknięte.

— "Udało się jednemu zapalić jakąś chałupę, wtedy inni nalatywali stadami i orali bombami wszystko dokoła, byle prędzej pozbyć się ładunku"—informował nas polski marynarz, który przeżywał te ciężkie "blitzowe" noce przed rokiem. W pobliżu portu zniszczeń widziało się znacznie mniej, a w samym porcie—ku naszemu największemu zdziwieniu—nie było ich najmniejszego śladu.

Policja bada starannie nasze przepustki u wejścia, uprzejmie prosi o wpisanie nazwisk do jakiejś olbrzymiej księgi. Wreszcie pozwala wejść.

W porcie ruch ogromny: przy nabrzeżach zatrzęsienie małych i większych statków. Od pstrokacizny "łajb" handlowych i motorówek, poważnie odcinają się stalowo-szare sylwetki okrętów wojennych. Jakiś okręt podwodny odpoczywa po trudach dalekich wypraw i wygrzewa się na słońcu jak foka połyskliwa.

W pewnym miejscu zamigotała nam na maszcie biało-czerwona bandera. Przycumowany linami do brzegu stał O.R.P. "KUJAWIAK" wsławiony niedawno zwycięską obroną konwojowanych statków i zestrzeleniem niemieckiego bombowca. Na pokładzie było pełno ludzi odrabiających "wiosenne porządki"; artyleria główna i jakieś tam bardzo nowoczesne cuda przeciwlotnicze drzemały owinięte w pokrowce w wiosennym słońcu. Marynarze i robotnicy z wiaderkami rozrobionej farby uwijali się wszędzie.

— "Wiosenna zmiana kamuflażu stosownie do okoliczności naszej służby"—objaśnił nas porucznik, który wyszedł na spotkanie. Istotnie okręt przystrajał się już w biel, błękit i seledyn na nową, ostatnią już niestety, swoją wyprawę.

Przez pomost schodzimy na pokład. Staszek, solenizant dzisiejszy, promienieje:—"Ludzie! Na moje imieniny jestem w Kraju. Przecież od tej barierki zaczyna się Polska!" Oszałamia nas i radosnym wzruszeniem napawa prawda tych słów. Istotnie na tym niewielkim terytorium suwerennie włada Rzeczpospolita. Szczupła to przestrzeń, ale jak broniona! Jakie działa, pompomy! A na dziobie, na rufie i wzdłuż burt stalowymi linkami przytwierdzone zwaliste beczułki-bomby głębinowe.

Strome i kręte schodki wiodą nas z pokładu do messy, która spełnia jednocześnie rolę świetlicy. Niezwykły, swojski nastrój panuje w tej klitce. Na ścianach barwne plansze Stryjeńskiej i fotografie przypominają Polskę.

Kilku oficerów z poświęceniem wytrzymuje sztorm ciekawości gromady lądowców, którzy w krótkich chwilach pobytu na okręcie chcieliby zgłębić wszystkie tajniki wiedzy żeglarskiej, poznać wszystkie przygody. Z bezładnych opowiadań, przeplatanych żartami, wyłania się przecież barwna i bogata, choć tak krótka jeszcze, historia "Kujawiaka."

PECHOWY DZIEŃ JUNKERSÓW

— ". . . Więc Niemcom nic "nie wyszło" tego dnia—opowiada młody porucznik.—Osłanialiśmy konwój i byliśmy już blisko portu, gdy nagle tuż przed zachodem słońca wyskoczyły z chmurek trzy Junkersy i rzuciły się na nasze "stado." Jeden rzucił trzy bomby na nasz okręt, a dwa inne "zajęły się" statkami konwoju. Rzuciło nami mocno, gdy jedna "śliwka" eksplodowała o 20 m od burty, ale nie przestaliśmy strzelać ani na chwilę. W pewnej chwili samolot zakołysał się, zniżył gwałtownie i rąbnął w morze w odległości jakiejś półtorej mili od nas. Przez krótką chwilę dymił jeszcze na wodzie, po tym poszedł na dno. "*Survivors*" zdaje się nie było, nie mieliśmy zresztą możności dopłynąć na miejsce wypadku zajęci odpieraniem ataku pozostałych w powietrzu Niemców.

Widocznie jednak był to pechowy dzień dla nich, bo po chwili następny zachybotał się wyraźnie i wycofał się z walki tracąc gwałtownie wysokość. Trzeci nie czekał już na swoją kolejkę. Zaraportowaliśmy po tym: jeden Ju. 88. zniszczony i jeden uszkodzony. Żaden statek konwoju nie został trafiony; na "Kujawiaku" poległ jeden marynarz."

POLOWANIE POD BRZEGAMI FRANCJI

—". . . Wypłynęliśmy w jasną noc księżycową. Wody Kanału były spokojne, widoczność nie najgorsza mimo lekkiej mgły. Idealna pogoda do polowania. Gdzieś wysoko w górze jęczał samolot, prawdopodobnie niemiecki wywiadowczy. Niczego jednak nie wyśledził, gdyż nikt nam nie przeszkadzał po drodze.

Płynąc pod brzeg francuski przypomniałem sobie, że jeszcze przed kilkoma godzinami na lądzie odwiedziła nas ekspedycja B.B.C. i nagrywała reportaż. Anglicy chciwie łowili rozmaite ciekawostki z naszego życia na morzu, dopytywali się o "*adventures*." I oto właśnie za kilka chwil przeżyjemy "przygodę". Może nawet dość ryzykowną, bo przecież leziemy wprost w zęby niemieckiemu diabłu . . .

Płynęliśmy w zupełnej ciszy. Fale z lekkim szelestem rozstępowały się przed nami, mgła trochę zgęstniała pod francuskim brzegiem. Przez lornetkę zobaczyłem daleko przed nami jakiś cień, wolno posuwający się wzdłuż linii wybrzeża. Złudzenie czy rzeczywistość? Wątpliwości moje rozwiały się w grzmocie wystrzałów. Jedna salwa, druga, trzecia. . . . Gdzieś przed nami w błękitnej dali zapalił się jasny płomień i zgasł po chwili. Transportowiec niemiecki około 1000 ton, ciężko wyładowany poszedł na dno jak kamień. Drugi mniejszy także oberwał i pewnie zatonął. Dla dokładności zameldowaliśmy później: "uszkodzony".

Zadanie było spełnione i trzeba było myśleć o własnej skórze. Już bowiem ślizgały się po wodzie nerwowe błyski reflektorów szukających nas gorączkowo. Zawróciliśmy ku Anglii. A tymczasem na brzegu francuskim rozszalało piekło: nadbrzeżne baterie biły salwami na ślepo. Daleko za nami tryskały w górę fontanny wody. Trwała ta kanonada dobrą chwilę, zanim wsiąkła w noc i mgłę. Wróciliśmy szczęśliwie bez szkód i strat.

Admiralicja brytyjska wraz z gratulacjami nadesłała oficjalne przyznanie jednego transportowca zatopionego i jednego uszkodzonego. Mamy już zatem "na rozkładzie" samolot i statek, do kompletu brakuje jeszcze okrętu podwodnego. Sposobności do walki nie brakuje nam nigdy, byle tylko szczęście "myśliwskie" dopisało.

ŚWIĘTA NA KONTYNENCIE

—. . . Domyśliliśmy się od razu, że zanosi się na coś poważnego. Ścisła tajemnica otaczała cel i moment odpłynięcia, a po wyjściu na morze także długo jeszcze nie wiedzieliśmy, dokąd zmierza nasza wyprawa. Dopiero później słowo "Lofoty" obiegło cały okręt, mieliśmy osłaniać wyprawę "*commandos*" na wybrzeże Norwegii.

Zbliżało się Boże Narodzenie i zima niepodzielnie władała na morzu. Zima zresztą dla nas przychylna. Jeszcze tej samej nocy, w której wypłynęliśmy ogarnęła nas zadymka śnieżna i prowadziła spory kawał drogi. Wigilijny dzień także stał prawie cały pod znakiem śnieżycy. A my pełniąc służbę w tym dniu uroczystym, myślami wybiegaliśmy do Kraju, do swoich . . . Czy też przeczuwali nasi najbliżsi, że spędzimy te święta na kontynencie i to nawet nie tak daleko od polskiego wybrzeża? Płynęliśmy jednak na północ, jak nakazywał obowiązek, a nie na południe dokąd ciągnął głos stęsknionych serc.

Do norweskiego brzegu skradaliśmy się bardzo ostrożnie. Ale ostrożność tym razem była niepotrzebna. Nie natrafiliśmy na żaden opór ani my, ani nasza partia "*commandosów*." Na innym odcinku pod Vagso stoczono krwawą bitwę, na naszym jednak froncie było nieprzyzwoicie spokojnie. Nie padł dosłownie ani jeden strzał. Widocznie Niemcy pamiętając dobrze przeszłoroczną "wycieczkę" Anglików woleli się przenieść w inne, bardziej obronne okolice.

Spędziliśmy zatem dwa dni świąteczne pod brzegiem Norwegii w czuwaniu nieustannym, ale i spokoju niezamąconym.

Drugiego dnia świąt zdawało się nam nawet, że "*weekend*" się skończył. W okolicy bowiem pojawił się niemiecki samolot wywiadowczy a taki gość zwykle nie wróży nic przyjemnego. Tym razem jednak nie sprowadził nam na kark nikogo. Może zresztą nie doleciał do bazy ostrzelany porządnie przez kontrtorpedowiec angielski? Nam, niestety, zupełnie "nie przyszedł na muszkę."

W mroczny wieczór grudniowy odpłynęliśmy. Już po kilku minutach zarysy brzegu straciły swoją ostrość. Norwegia pozostała za nami, rozpłynęła się w mgle. Odchodziliśmy w mgłę i my, zostawiając na brzegu serca patriotów rozświetlone oczekiwaniem i nadzieją. Byliśmy kilka dni na opanowanym przez wroga kontynencie i żaden strzał nie padł w naszą stronę. A Niemców zobaczyliśmy dopiero w porcie po powrocie, gdy ich ładowano na auta i odwożono do obozu jeńców.

* * *

Na tym epizodzie urwały się wspomnienia. Czyż mogliśmy wtedy przypuszczać, że księga czynów walecznych "Kujawiaka" jest tak bliska zamknięcia?

Czas był wracać. Była właśnie godzina 6 wieczorem, pora zakończenia pracy. Ulice portowe zaroiły się: gromady robotników wracały do miasta, marynarze opuszczali okręty i schodzili na ląd. Na "Kujawiaku" także przerwano prace kamuflażowania. Co chwila jakiś marynarz salutował koledze stojącemu na warcie u wejścia na pokład i pędem zbiegał na dół.

Zeszliśmy na nabrzeże i my, wymieniając pożegnalne ukłony. "Kujawiak" błyszczał świeżością nieobeschłej jeszcze farby, pokład zalewała powódź słonecznych blasków. Nagle, kiedy już mieliśmy się wmieszać w przechodzący obok tłum, zauważyłem, że dwaj marynarze zeszli nieco z drogi i zatrzymali się. Spojrzałem na nich. Obydwaj mieli na piersiach podwójne krzyże Lotaryngii, noszone przez żołnierzy Wolnej Francji. W pewnej chwili Francuzi wyprężyli się jakby poderwani niedosłyszalną komendą i zasalutowali. Było coś niezwykle przejmującego w tym żołnierskim ukłonie, oddanym powiewającej na maszcie "Kujawiaka" banderze Rzeczypospolitej.

ŚMIERĆ NA POSTERUNKU

Minęło kilka tygodni od tego dnia. Wiedzieliśmy, że "Kujawiak" wyszedł na morze, że znowu walczy. Nie wiedzieliśmy tylko w której stronie. Aż przyszła wieść żałobna: O.R.P. "Kujawiak" zatonął na Morzu Śródziemnym wypełniając ciężkie zadanie obrony konwoju, płynącego do bohaterskiej wyspy Malty. Zginął na poterunku. Jak przed nim zginęły na wodach Bałtyku "Wicher" i "Gryf," jak w Morzu Północnym pogrążyły się "Grom" i "Orzeł." Trzeba widać było, aby i na szlaku śródziemnomorskim wrak polskiego okrętu znaczył nową ofiarę Polski, walczącej na wszystkich frontach o wspólną sprawę wolności.

W domu żołnierza w jednym z miast szkockich gromadka żołnierzy otoczyła młodego marynarza, który był świadkiem żołnierskiego zgonu "Kujawiaka." W prostych słowach opisał on ostatnie walki.

—". . . Jak wygląda piekło na ziemi poznałem w ciągu dwóch ostatnich dni naszej służby. Eskortowaliśmy konwój, wiozący posiłki na Maltę. Przez dwa dni byliśmy stale w alarmie bojowym. Niemieckie i włoskie bombowce atakowały nas falami i prawie bez przerwy. Strzelanina była wściekła. W chwilach nalotów, kto tylko mógł pomagał obsłudze dział i "pom-pomów" nie zważając na szarżę, na funkcję. Nasze konto zestrzelonych maszyn nieprzyjacielskich wzrosło w ciągu tych dwóch dni do 7 bombowców—nielada to rekord jak na młody, niespełna trzynastomiesięczny kontrtorpedowiec.

Przetrwaliśmy wszystkie bombardowania. Nasze "łajby" odstawiliśmy do portu na Malcie. I wtedy, kiedy już się zdawało, że najgorsze mamy za sobą, przyszła na "Kujawiaka" czarna godzina. Byliśmy właśnie na służbie kilka mil od portu, gdy przejęliśmy wołanie o pomoc kontrtorpedowca angielskiego.

Popłynęliśmy w jego stronę; ja miałem właśnie służbę przy maszynach. Była godzina 12.45 w nocy z 15 na 16 czerwca, gdy zauważono z pokładu minę. Okręt momentalnie wykonał manewr i ominął ją, ale w tym samym momencie najechał na drugą. Okropny wybuch targnął nami. Na rufie obok pomieszczenia bosmanów wyrwało wielki otwór; kilku ludzi zginęło na miejscu. "Kujawiak" przechylił się dziobem do góry i począł się wolno zanurzać. . . .

Padł rozkaz opuszczenia okrętu. Jeden po drugim w ciszy przerywanej tylko sykiem pary wypuszczonej przez odsunięte zawory, zsuwaliśmy się z pokładu w morze i płynęli do tratew. Ostatni zeszedł z pokładu komandor. Siedziałem już wtedy w łodzi i raz jeszcze spojrzałem na nasz okręt. Był już bardzo przechylony, dziób sterczał ku górze a maszt pochylił się tak nisko, że zdawało mi się, iż bandera zamiata już fale. Obłok pary unosił się nad "Kujawiakiem" i przesłaniał go chwilami zupełnie.

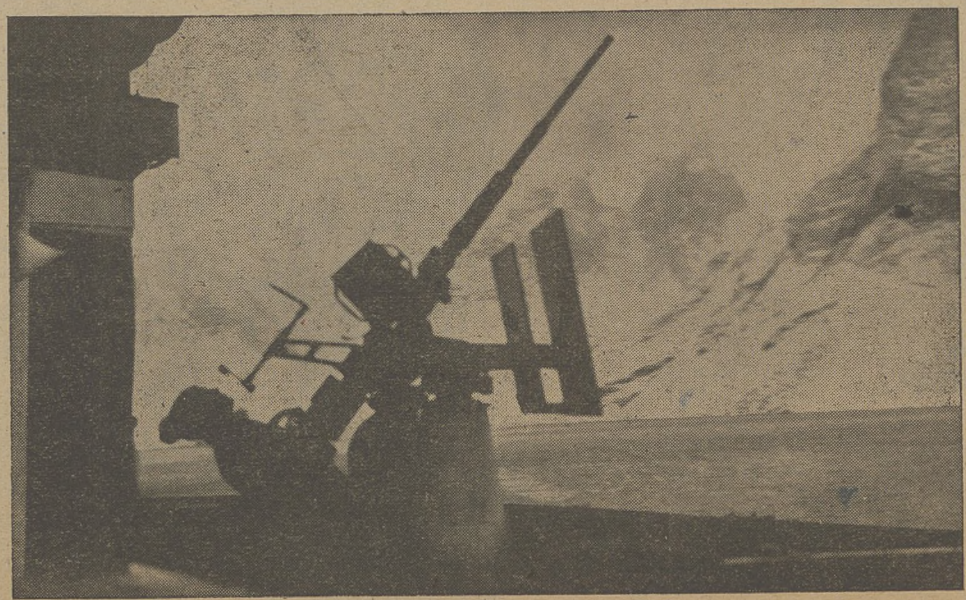
I tak nam zniknął nasz śliczny okręt. Kiedy drugi raz obejrzałem się za siebie, nie zobaczyłem już żadnego śladu na powierzchni morza. Od kolegów dowiedziałem się, że od chwili wybuchu do zatonięcia okrętu upłynęło 24 minut.

Zebrano nas pozostałych—szczęściem straty są niewielkie—i przywieziono do Anglii. Jednego dnia usłyszeliśmy podaną przez radio wiadomość o zatonięciu "Kujawiaka." Nie była to dla nas nowina, a przecież zrobiło się nam smutno ogromnie. Straciliśmy przecież dom. Ale tylko chwilowo — zakończył po chwili z ożywieniem—Wiara trzyma się mocno. Niedługo dostaniemy nowy okręt, może to będzie ten krążownik, na który czekają nasi chłopcy? A wtedy ciężko pomścimy śmierć "Kujawiaka."

LUDWIK BOJCZUK

Zdjęcia wykonane przez oficera O.R.P. "Kujawiak."

Pod brzegami Norwegii



MYŚLIWSKIE LOTNICTWO

ułożył Jan Poliński



Korespondencja z nad Lille

Na początku było—niebo. Cudowne, rozżarzone słońcem, wschodzącym z poza gór, krwawiące strzępami obłoków, ponure i majestatyczne, groźne i wspaniałe.

Za nami była jeszcze noc. Wystartowaliśmy o świcie z macierzystego lotniska, żeby przed "godziną zerową" wylądować na miejscu spotkania z innymi squadronami. Prawie wszystkie polskie jednostki myśliwskie miały wziąć udział w tej operacji—"*biggest ever in daylight over the enemy occupied territory.*"

Na razie leciało się, jak na krajoznawczą wycieczkę. Powietrze spokojne, jak woda w jeziorze, pod nami ziemia, śpiąca jeszcze gdzie niegdzie pod pierzynami białych mgieł—jakże zimno musi być tym odkrytym połaciom pól; nad nami purpura, później pomarańczowość, później seledyn, wreszcie zimny, niezgłębiony błękit otwartego nieba.

Mijamy małe miasteczko. Chociaż małe, wiszą nad nim wielorybie cielska balonów. Władek twierdzi, że tam jest fabryka dżemu. Ale Władek, jako prezes Klubu Pesymistów, musi być jednocześnie i cynikiem.

Lecę w drugiej trójce. Powietrze jest tak spokojne, że sylwetka prowadzącego pierwszą trójkę znieruchomiała w obramowaniu szybki, przez którą patrzę. Po obu jego stronach ważą się niedostrzegalnym ruchem jego boczni, jak szale uspokojonej, lecz czułej wagi. Przysuwam moją trójkę tak, żeby sformować regularny *quincunx*, następne trójki robią to samo; jakiż piękny, spoisty układ musimy teraz tworzyć dla kogoś, kto na ziemi usłyszawszy chór dwunastu basowych Merlinów, podniósł głowę do góry.

I doprawdy żal, że już jesteśmy nad lotniskiem, na którym mamy wylądować i spotkać się z innymi squadronami.

Sakramentalny *cup of tea* w kasynie. Przy okazji spotyka się mnóstwo znajomych z tamtych squadronów. Często latało się z nimi razem, ale z różnych lotnisk, spotykając się w powietrzu, bez rendez-vous na ziemi; tylko po literach, wymalowanych z boku maszyn, poznawało się tych z Trzysta Szesnastego, lub tamtych z Trzysta Piętnastego. Jakaś SZ uratowała jakąś WX, której Messerschmidt siadał na ogon, a dopiero w parę miesięcy później jakiś Jurek spotykał się z jakimś Jankiem i przypadkiem, przy wspomnieniach z dawnych wypraw, okazywało się, że to Jurkowi Janek zawdzięcza życie; oszacowane zresztą zgodnie przez obu dość tanio: jedna *double whisky*.

Ale tymczasem zaczęła się odprawa przed zadaniem. Dostojnicy z niezliczonymi paskami na rękawach i tęczową sałatką orderów na piersiach uświadamiali nas: kiedy, dokąd, po co i jak. Szeleścili przy tym wielkimi mapami i rysowali na nich energicznymi pociągnięciami grube, czerwone linie, co na młodszych pilotach robiło przejmujące wrażenie.

Po oficjalnej części spadł krótki, lecz ulewny deszcz prywatnych rad, wskazówek, ostrzeżeń i informacji, po czym piloci, pokrzepieni na duchu prawdami, które sami wygłosili innym, rozeszli się do maszyn.

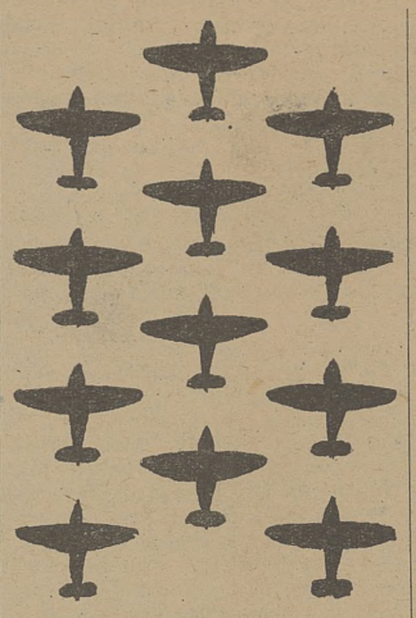
Znów trójka za trójką goni w niebo, ale już nie dwanaście Merlinów grzmi teraz wibrującym basem: squadron za squadronem przyłączą się do chóru, z sąsiednich lotnisk startują inne skrzydła, dołem suną flegmatyczne, pedantyczne, zimnokrwiste bombery. Setki maszyn płyną na południowschód, jak fantastyczne ptactwo w jesiennym odlocie, zapełniając powietrze od ziemi aż po wysokości, gdzie tylko komety białych smug, sunące zgodnie w jednym kierunku, dają znać, że ktoś mąci spokój lodowatych wyżyn niebieskich.

Zamglony ląd zbliża się, wyraźnieje, odsłania kontury pól i lasów, miast i wsi. Nie trzeba mapy, żeby rozpoznać tak dobrze już znane: Cap Gris Nez, którego nazwa sprzecza się z jaskrawo żółtą, piaszczystą wydmą; po bokach, gdzie wykwitły właśnie pierwsze dymy artyleryjskich pocisków—to Calais i Boulogne—a przed nami, pokryte starą, lecz wciąż odnawiającą się, ospą bombardowań—St. Omer; dalej Hazebrouck, równie modne i często odwiedzane, jak St. Omer.

Są bowiem miejsca szczególnie f a s h i o n a b l e, szczególnie uprzywilejowane przez myśliwską sosietę.—"Byliśmy nad Béthune"—"Lecimy nad St. Omer"—podobnie mawiało się kiedyś: "Wróciliśmy z Krynicy"—"Wybieramy się do Jastarni."

Ale dziś lecimy dalej, dokąd żaden myśliwiec przed nami jeszcze nie zaleciał. Morze już znikło na horyzoncie i śmiesznie jest pomyśleć, że, gdzie okiem sięgnąć, hen, dziesiątki mil, tam wokół rozpościera się przed nami "teren nieprzyjacielski."

Otóż i Lille. Podobno wielkie miasto, a takie przecież małe. Ale cała kula ziemska kurczy się dla tego, kto może widzieć jednocześnie Anglię, Francję, Belgię i Holandię, a wystarczy do tego celu nabrać ze trzydzieści tysięcy stóp wysokości przy czystej pogodzie. W takich chwilach żałuję, że nie jestem nad Włochami, przekonałbym się nareszcie, czy rzeczywiście mają kształt buta.



Ale w tej chwili interesują mnie bardziej białe obłoczki, pojawiające się nagle na czarniawym tle fabryk. Bombowców nie widzę. Są znacznie niżej od nas, a ich kamuflaż upodobnił się do tła ziemi, jak gąsienica do liści, które pożera. Tym bardziej nie widać bomb, dopiero ich bezpośredni skutek. *Trick, isn't it?*

Równie interesujące są dwa lotniska na południe od miasta. Naturalnie Messerschmidtów na nich nie zobaczysz, choćby nawet nie wystartowały. Ale wystartowały napewno, bo właśnie w słuchawkach poznaję głos Fortunata: "Messerschmidty z lewej."

Te informacje mają swoją słabą stronę.—P s y c h o l o g i a, moi drodzy: słyszysz "Messerschmidty z lewej" i natychmiast podniecona wyobraźnia maluje czarne krzyże na kadłubach czterdziestu bratnich Spitfire'ów po twej lewej. Słyszysz "Messerschmidty z tyłu" i oto w lusterku widzisz dwadzieścia podejrzanych maszyn, celujących w twój ogon. Co gorsza, Fortunat jest bystry, co zobaczy, to zaraz mówi, a głos ma przejmujący.

Tymczasem skręciliśmy w lewo, Messerschmidty są pod nami, pierwsze nasze czwórki atakują. Nagle, z góry przed nami, spada, jak pocisk armatni, okrągły pysk Focke-Wulfa, bryzga smugami z karabinów w jakiegoś Spitfire'a i na tej samej zawrotnej szybkości mknie, pikując prawie pionowo. —"N i e g r z e c n y" — musiał powiedzieć w tej chwili Józek; Józek, jak jest na kogo bardzo zły, zawsze mówi: "niegrzecny."

Ale wyróżniony Spitfire nic sobie nie robi i pruje dalej. Spitfire jest podobny do ludzkiej istoty: można go poszarpać ogniem z działek, można mu podziurawić skrzydła i wystrzępić ogon, zrobić sito z kadłuba i wentylator z kabiny, a on leci; a kiedy indziej jeden mały pocisk karabinowy trafi gdzieś w nerwy iskrowników, płuca cylindrów, lub serce jakiejś pompki i już—trup. Dobrze, jeżeli—zimny trup, czasem bywa gorący.

Temu na przykład Messerschmidtowi, który właśnie z przed naszej pierwszej czwórki piką idzie do ziemi, musi być bardzo gorąco, bo dym puszcza coraz gęstszy.—"Ale ciepła coś za wiele"—pomyślał pewnie Fritz i skacze, a jego Messerschmidt już niedwuznacznie ogniem zieje. Niechże im ziemia miękka będzie!

—"Messerschmidty z tyłu!"—huczy w słuchawkach głos Fortunata. A z przodu kurtyna dymków, wdzięcznie rozwieszona przez artylerię z Dunkierki. W przedziwnych zygzakach leci bractwo poprzez te eksplodujące obłoczki. Przypomina to "taniec wśród jaj"—byle nie nadepnąć na jajo! Gorzej, że te artyleryjskie jaja tańczą również i to z mocną intencją karambolu.

Poza tym, jeśli kto lubi, można się zderzyć z kolegą, bo lecimy gęsto, a manewrujemy żwawo.—"Boże, chroń mnie od przyjaciół, a z wrogami sam sobie poradzę!"—pomyślałem w chwili, gdy jakiś nerwowy Spitfire mignął mi przed samym nosem.

Ostatnie squadrony uwijają się jeszcze wokół tych "Messerschmidtów z tyłu," a my jesteśmy już nad wodą. Pod nami, na lśniącym tle Kanału pełzną zielonkawe sylwetki bomberów, suną w ordynku, trójka za trójką, z angielską flegmą, choć lżejsze, o, lżejsze, niż w tamtą stronę. Wracają wszystkie, nie widać żadnego pustego miejsca w szyku, ach, jak przyjemnie!

Otóż i lotnisko. Lądujemy, lądujemy, lądujemy. Chryste, iluż nas ląduje, a przecież tutaj tylko część wyprawy siada. Po trzy, po pięć, gdzie jeszcze wolny pas na trawie został, bo benzyna się kończy. Wreszcie i ja upatrzyłem dobrą chwilę, spływam cicho i siadam na miękkiej trawie. Teraz szybko podkołować pod hangary, bo z tyłu następny siada mi na ogon.

Miło jest rozprostować nogi, blisko dwie godziny siedziało się na spadochronie, a raczej na łódce, która jest tak sprytnie zwinięta, że spory, drewniany kołek sterczy na samym wierzchu. Władek proponuje latać na plecach, to ucisk będzie mniejszy.

Obok mojego wylądował ten Spitfire, do którego strzelał Focke-Wulf. Na przedniej szybce został piękny rozprysk od pocisku karabinowego. Gdyby szybka nie była taka twardą i gruba, rozprysk byłby w głowie pilota. Ale pilot w głowie ma tylko troskę, jak wyszło zdjęcie Messerschmidta, którego zapalił po drodze.—"Fotogenicznie się palił"—powiada.

Zasłużony, a hałaśliwy obiad. Fortunat stawia piwo i wielkim głosem opowiada o swych przeżyciach. Tyle się nakrzyczał w powietrzu, a jeszcze mu tyle głosu zostało! Ani śladu chrypki. Ma zdrowie.

A potem startujemy, znowu tylko nasz squadron, znowu spokojne powietrze, jak woda w jeziorze, bo słońce już ma się ku zachodowi. Gonimy je po niebie, ścigamy wytrwale, żeby zdążyć, zanim schowa się za wzgórza, okalające nasze lotnisko. Płynie trójka za trójką, w ostatniej luka z lewej strony.

Właśnie ostatnie promienie kładły się i gasły na asfaltowych *runway'ach* lotniska, kiedy spłynęliśmy na nie, jak sznur dzikich gęsi, poprzez liliową, wieczorną mgłę.

GUSTAW NIERAD

Szesnastego lipca Lotnicy Polscy obchodzą swoje doroczne święto. To Ich święto domowe, w którym wspominają Kolegów nieobecnych, w którym zaświadczają swoją jedność, jedną, wspólną wolę niezłomnej walki—jest świętem wszystkich Żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych. Uczestniczymy w nim uczuciami podziwu, dumy, miłości głębokiej dla Tych, którzy z pośród nas walczą w pierwszym szeregu, w najcięższych warunkach, najofiarniej, z prostotą, która znaczy czyny ludzkie naprawdę czyste i naprawdę wielkie.

WIERSZE

PORANEK NA LOTNISKU

Z lotniska pierwszy startuje poranek.
Zdziera mgły z murawy, zdarte unosi
i z poza smutnej ciemności firanek
ukazuje słońce, które ciszę złoci.

Robi rundę nad nami,
coraz wyżej się wdziera,
spojrzał okiem swym jasnym,
noc dotknięta—umiera.

Nagle znów się zniżył i koszącym lotem
przesmarował lotnisko, dotykając traw;
te zaś przerażone oblały się potem
i tak operlone czekały dnia.

A teraz inny zaczyna się lot:
startuje człowiek. Silniki grają,
maszyna ociera kołami pot,
trawy dziękując—wpas się kłaniają.

NIEUNIKNIONA BAZA

Radio sucho podało, tak jak tyle razy:
"Dziś jedna maszyna nie wróciła do bazy" . . .
Ja słuchając słów tych, widziałem wasze twarze
Robercie, Andrzeju, Bolku, Janku, Oskarze,
i Twoją Józicku zawsze tak zamyślony,
wzdychający do gór swych, tęskniący do żony . . .

I wiem, że nie pomogą wam już łzy ni westchnienia;
dotarliście do bazy . . . w i e c z n e g o przeznaczenia.

MIECZYSŁAW PAWLIKOWSKI

POLSKI CZERWONY KRZYŻ

ZARZĄD GŁÓWNY
R-k Bieżący:
Lloyd's Bank Ltd.,
192, Great Portland St.
London, W.1.

34, BELGRAVE SQUARE, LONDON, S.W.1.
Telephone: SLOane 9838,
SLOane 9839.

Do 8835/42/Pr.

Londyn, 26.VI.42

Pana Redaktora
dr.T.Terleckiego

Liczba funtów przesłanych Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi na fundusz Polaków w Rosji za pośrednictwem "Polski Walczącej" dosięgła poważnej sumy 2.000 Ł. Są to datki ze skromnych gaż żołnierskich, składki pułkowe, dary indywidualne polskiej emigracji w W. Brytanji, pieniądze jakie ofiarowano na ten cel dzięki apelowi Polski Walczącej, jednego z najpoczytniejszych tygodników polskich. Dzięki inicjatywie i energji redaktora Polski Walczącej, dr. Tymona Terleckiego sumy jakie wpłynęły do kas P.C.K. pomogły w dużej mierze szerokiej akcji pomocy dla ludności polskiej w Rosji. P.C.K. docenia w zupełności wielki wysiłek i ofiarność wojska polskiego i emigracji cywilnej w niesieniu pomocy dalekim braciom. Pieniądze zebrane staraniem Polski Walczącej zostały zamienione w transporty odzieży, żywności i lekarstw i powędrowały na Bliski Wschód. Zdołano tam stworzyć wysiłkiem Polaków bazę P.C.K., która pośredniczy w przesyłce transportów do Rosji, w korespondencji, prowadzi poszukiwania, a także otacza opieką pierwsze grupy wojska i ludności cywilnej przybyłe z Rosji. Pozatem P.C.K. rozciągnął swoją działalność i na teren Indi Brytyjskich.

Wszystkim czytelnikom Polski Walczącej oraz Redakcji tego pisma, którzy wzięli czynny udział w akcji pomocy dla Polaków w Rosji Polski Czerwony Krzyż składa tą drogą serdeczne "Bóg zapłać".

/ Prof.dr.W.Koskowski /
Prezes Zarządu Głównego

Bez black-outu

Każda rozrywka w umysłowości brytyjskiej, mieści w sobie wiele elementów sportu (n.p. taniec) i traktowana jest—co wielu dziwi—jako niezbędny warunek dobrej pracy, szczególnie w czasie wojny. Charakterystyczne są znane południowe koncerty fabryczne, organizowane przez B.B.C. pod nazwą "Workers Playtime". Odbywa się to zwykle między 12-tą a 1-szą w południe, przy czym wykonawcami są przeważnie sami robotnicy, którzy produkują się jako soliści lub w zespołach różnego typu; od czasu do czasu występuje zaproszony artysta zawodowy. Nie na tym koniec. Podczas samej pracy we wszystkich fabrykach, a nawet w większych magazynach wojskowych, czynne są głośniki radiowe, które nadają bądź to specjalną muzykę płytową z aparatury wewnętrznej, bądź też transmitują muzykę, nadawaną na fali B.B.C. w czasie tzw. koncertów "Music while you work". Ostatnio robotnicy prosili o nadawanie płyt bardzo znanych, z nagraniami spopularyzowanych melodii, łatwymi muzycznie, by mogli nie odrywając swojej uwagi pracować . . . pośpiewując. Wtym kraju nie rozumieją, że ktoś nie tańczy, bo jest n.p. w żałobie. Argument ten spotyka się z uśmiechem i niedowierzaniem. Pytają "co to ma wspólnego jedno z drugim? Przecież taniec—to sport. Więc z powodu żałoby nie można by grać w golfa?"

Przed kilkoma dniami w Edynburgu otwarto wielki bezpłatny dancing pod gołym niebem, w parku w samym śródmieściu u stóp Królewskiego Zamku. Otwarcie dancingu zagaił przemówieniem Lord Provost tego grodu. Co mówił? Bardzo prosto. Mniej więcej tak:

—"Jest wojna, ale nasz Zamek stoi, tak jak stał wspaniały. Jest wojna, ale nasza Princess Street błyszczy dalej pięknością. I właśnie dzisiaj, pomiędzy najpiękniejszą ulicą Szkocji a naszym historycznym Zamkiem, otwieramy bezpłatną rozrywkę dla żołnierzy, przebywających czasowo lub mieszkających stale w Edynburgu, a do naszych Pań zwracamy się z prośbą, żeby zapraszały zawsze żołnierzy do tańca. Rząd ze zrozumiałych względów prosił nas o ograniczenie wyjazdów kolejowych i samochodowych. Więc cóż nam pozostało? Zdrowa, tania rozrywka, zorganizowana we własnym mieście. Zaczynamy!"

Co powiedziawszy Lord Provost w pepitkowych spodniach i w czarnym tużurku, z łańcuchem na szyi, puścił się w ochoczy tan z piękną szkocką girl, przy dźwiękach dętej orkiestry.

Takie pojęcie rozrywki rozwijało się długo, bardzo długo w umysłowości i tradycji brytyjskiej. By rozrywka tak pojęta wrosła niejako w krew i stała się pomocą w codziennej pracy, trzeba najpierw wiele rzeczy zmodyfikować, poświęcić wiele czasu organizacji samej pracy i urządzeniu życia robotnika.

Nasz stosunek do rozrywek w kraju, był inny. Płynęło to niewątpliwie również z umysłowości narodu a przede wszystkim z układu sił społecznych i całkowicie odmiennych warunków pracy. Przypominam sobie ciekawą, ale jakże przykrą konferencję, którą odbyłem kiedyś w Polskim Radio z przedstawicielami świata robotniczego w sprawie radiofonizacji mieszkań robotniczych. Głęboko utkwiły mi w pamięci gorzkie, ale niestety prawdziwe słowa jednego z przedstawicieli:—"Co? Odbiorniki? Wypompujcie najpierw wodę z mieszkań robotniczych . . ."

W ostatnich latach notowany był niewątpliwie dość duży postęp w zrozumieniu wielkiej roli rozrywek popularnych, organizowanych w Polsce dla najszerszych sfer. Pamiętam słynne "dancingi w składzie opału," z którymi niemało miał kłopotów w każdą niedzielę Lwowski Związek Chórów i Teatrów Włościańskich. Odbywały się owe dancingi przy ul. Jabłonowskich, ale . . . niestety w składzie między drzewem i węglem, bo nikt nie chciał dać odpowiedniego lokalu lub placu bezpłatnie. Z tego płynęły dalsze "ale." Przychodziły tam tylko kucharcie i Nastusie "zaszczycając" żołnierzy, spragnionych tańca i rozrywki. Żołnierze przychodzili chętnie, mimo skromnego wyboru tancznic, bo nie mieli pieniędzy często nawet na najtańsze miejsce "pod ekranem" w najtańszym kinie.

A tutaj jest prośba Provosta, jest bezpłatny wstęp i . . . panny muszą zapraszać żołnierzy i to panny z najlepszych towarzystw, studentki, biuralistki, panny z wielkich magazynów kupieckich. . . . Rzeczywiście żołnierz polski patrząc na ten, jedyny w swoim rodzaju dancing pod gołym niebem, może dopiero teraz w pełni ocenić krytycznie nasze dawne (daj Boże minione) "zacofanie społeczne" w tych sprawach. Rzeczywiście w warunkach, jakie wytwarzaliśmy dla tego typu rozrywek w kraju, żołnierz musiał być "Jasiem", którego zaszczycała "Nastusia" w składzie opału.

Jestem pewny, że po wojnie nastąpi przemiana pojęć, podstawowa, jestem pewny, że grunt pod taką ewolucję musi być urabiany już teraz i to właśnie tutaj przez nas samych. Dancing żołnierski ze "składu opału" przeniesiemy na najpiękniejszą ulicę naszego miasta, a córka burmistrza pierwsza pójdzie w tan z żołnierzem polskim. Pan burmistrz zaś poprosi osamotnioną Nastusię. Trudna to sprawa, ale—nie uśmiechajcie się panowie ironicznie—powinna stać się tematem przyszłych konferencyj w sprawie układu stosunków społecznych w wolnej Polsce.

Doceniając w pełni wartość doświadczeń brytyjskich i mając szczery zamiar wykorzystania ich w przyszłości, musimy równocześnie powiedzieć sobie otwarcie, że nie wolno nam w chwili obecnej pod żadnym warunkiem czy to dla wygody własnej, czy dla zgłuszenia sumienia, przestawiać gwałtownie naszej polskiej umysłowości na wzory brytyjskie.

My jesteśmy w żałobie. W wielkiej żałobie narodowej. Nosimy ją po naszych najbliższych, po dalekich znajomych i nieznajomych Polakach. My jesteśmy w żałobie po tysiącach nieznanych ofiar, zamęczonych w niemieckich obozach koncentracyjnych, po tych, których zbiorowe mogiły trudne będą do odnalezienia na dalekich przestrzeniach Rosji Sowieckiej. My jesteśmy w żałobie co dzień i co nocy po bohaterskich polskich lotnikach, którzy nie wracają do baz. Jesteśmy w żałobie po ofiarnych i dzielnych marynarzach Polskiej Floty Wojennej i Handlowej, którym mogiłą stają się obce morza.

Nam tańczyć wolno. Zakaz niegdyś wydany cofnięto. Ale my tańczyć nie powinniśmy! Mimo zdziwienia Szkotów, czy Anglików, mimo brytyjskiego traktowania tej rozrywki jako sportu. To powinna być nasza demonstracja narodowa! To powinien być protest duchowy. Powinniśmy apelować, gdzie należy, by znikły oficjalne i półoficjalne smokingowo-coctailowe "party", a nade wszystko "herbatki tańcujące z dobrze zaopatrzonym bufetem" /sic! patrz "Dziennik Polski" 17. czerwca 1942 nr. 594/.

Teraz, gdy codziennie przychodzą z kraju nowe wiadomości o masowych obławach i egzekucjach, mamy nie tylko prawo, ale i obowiązek stawiania pytań i żądania odpowiedzi!

Czy zorganizowaliśmy odruchowo jakąś zbiorową demonstrację narodową na emigracji w chwili otrzymania niedawnej wiadomości o zamordowaniu 100 Polaków w Warszawie?

Czy nikomu nie wpadło do głowy, by przynajmniej na okres trzech dni wstrzymać wszelkie rozrywki emigracyjne, "taneczno-kinowo-drinkowe"!? Na znak protestu. Na znak solidarności duchowej z krajem. Jacy jesteśmy słabi! Jacy jesteśmy mali! Obojętniejemy w zastraszającym tempie.

W tych warunkach, na takim tle rozpatrywane, wydają się bardzo niebezpieczne i nieprzemyślane niektóre fragmenty reportaży o Warszawie, drukowanych ostatnio w tutejszych pismach polskich. Fragmenty te mówią o "pogodzie" nastroju Warszawy, o przepełnionych kawiarniach, o Warszawiankach "zawsze eleganckich," wspominają nawet niebacznie o "eleganckich" żandarmach niemieckich, którzy przepraszają "grzecznie" salutując, a potem dopiero biorą do bramy Polaków, by następnie wsadzić do ciężarówki i wywieźć. Może jeszcze za wcześnie na taki reportaż z Warszawy. Reportaż z . . . żartem.—Zbyt wielką ulgę czujemy po przeczytaniu tych relacyj, które dotyczą życia trudnego, ale jednak mającego pozory normalności, byśmy pod dyktandem sumienia, nie czuli się w obowiązku zapytać: Czy to jest pożyteczne?

Twierdzę, że przy nowej naszej właściwości emigracyjnej: "niedokładnego doczytywania artykułów (w najważniejszych sprawach), tego typu reportaże wpłynąć mogą tylko na dalsze zobojętnienie emigracji. Słyszałem jak się mówiło po przeczytaniu tych opisów: "No, to nie jest tak źle!" (sic) Albo: "Słyszeliście? Dają sobie świetnie radę! Siedzą w kawiarniach, jak dawniej" (sic) I taki jeden z drugim rozgrzeszony we własnym sumieniu ciągnął do pierwszego lepszego . . . baru.

Wydaje mi się, że między nami a klimatem kraju musi być dystans. Dystans, który nas powinien hamować w wielu sprawach. Dystans, który nakazuje cześć i szacunek, który budzi niezaspokojone tęsknoty. Jeżeli zatrze się granica tego dystansu, jeżeli prawdziwe, zresztą najlepsze reportaże, ułatwią jeszcze tylko—uprawiane na emigracji namiętnie—zagłuszanie własnych sumień—co nam pozostanie?

Powinniśmy, największym wysiłkiem naszej propagandy cywilnej i wojskowej podtrzymać, na cały świat rozgłosić i uczynić jednym tematem wszelkich reportaży o naszym Kraju, te głosy opinii brytyjskiej (parlamentu i prasy) które, szczególnie w ostatnich czasach, wykazują pełne zrozumienie tragedii naszego Kraju i zdecydowaną postawę. Przypominam mocne przemówienie Brytyjskiego Ministra Informacji z przed kilku dni. A oto oryginał notatki, która ukazała się ostatnio, we wszystkich niemal codziennych pismach brytyjskich:

"The Germans are murdering 6.000 Poles a week in Warsaw! In a detailed report yesterday the people of Poland appealed to the Allies to open a Second Front to "save our nation from complete destruction"—

Powinniśmy się dobrze zastanowić nad aktualnym pytaniem czy nasze, polskie relacje, w typie omawianych reportaży o Warszawie i o Kraju, choćby najwierniejsze, ale przedwczesne, nie są dalszym ciągiem naszej nieświadomie zresztą uprawianej roboty antypropagandowej, w której jesteśmy znanymi mistrzami.

WIKOR BUDZYŃSKI

Pomoc dla Polaków w Rosji: £2,792

LOTNICTWO POLSKIE W ANGLII I SZKOCJI RODAKOM W ROSJI ROK 1942

Załączam czek na £12.9.4 z której to sumy £8.17.10 przeznaczone jest na Pomoc Polakom w Rosji, a £3.11.6 na pomoc jeńcom.—Na przekazaną kwotę złożyły się zbiórki okolicznościowe wśród żołnierzy /£5.6.4/ oraz składki za miesiąc czerwiec 42 od oficerów dywizjonu /£7.3.0/.

Oficer Oświatowy
Dywizjonu Współpracy

* * *

Redakcja "Polski Walczącej,"

W załączeniu przesyłam Money Order na kwotę £10—zebrane wśród szeregowych Polskiego Maintenance Wingu, które przeznaczam na pomoc Polakom w Rosji.

Komendant Szkoły Pilotażu

UZUPEŁNIAMY PIERWSZĄ OFIARĘ POLAKÓW Z ROSJI DLA POLAKÓW W ROSJI

Dla uczczenia pamięci ppłk.-pilota Stanisława Skarżyńskiego, poległego za Ojczyznę śmiercią lotnika na polu chwały, składamy na pomoc dla Polaków w Rosji kwotę £2.

Czołówka Teatralna W.P.
"Lwowska Fala"

Oficerowie, podoficerowie i marynarze Polskiej Marynarki Wojennej składają na pomoc dla Polaków w Rosji £125.

* * *

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

W załączeniu przesyłam czek Klubu Polskiego w Oxfordzie na sumę £20 /słownie dwadzieścia funtów/, jako dochód z koncertu Chóru Armii Polskiej w Sheldonian Theatre w Oxfordzie w dn. 16 maja 1942 r. Sumę tę Klub Polski pragnie przekazać za pośrednictwem "Polski Walczącej" dla Polskiego Czerwonego Krzyża na rzecz Polaków w Rosji.

Świetny ten koncert, przyjęty niezwykle gorąco przez zebraną w liczbie około 1000 osób, publiczność, odegrał nie tylko wybitną rolę propagandową, ale pozwolił również na zebranie poważnej sumy dla ulżenia ciężkiej doli Polaków w Rosji.

Należy zaznaczyć, że uzyskanie tego dochodu było możliwe jedynie dlatego, że Chór Armii Polskiej dał ten koncert całkowicie gratis, nie przyjmując ani honorarium, ani nawet zwrotu kosztów przyjazdu i pobytu w Oxfordzie, wobec czego Klub Polski w Oxfordzie przekazując pieniądze na pomoc Rodakom, Chórowi Armii Polskiej wyraża gorące podziękowanie.

mgr. Tadeusz Lubicz-Brzeziński

* * *

Szanowna Redakcjo,

O ile pomoc dla naszych Rodaków w Rosji jest dla każdego Polaka nie tylko moralnym nakazem, lecz wprost świętym obowiązkiem, o tyle każdy szlachetny gest naszych szkockich przyjaciół, którzy dla naszej biedy okazują tyle zrozumienia i serca, powinien być podawany dla zbudowania innych. Niech widzą, że my za ich dobre serce umiemy się odwdzięczyć—narazie—dobrym słowem i modlitwą.

Ten moment skłania mnie do przesłania Szan. Redakcji podziękowania dla P. Harvey, której niżej wyszczególnioną ofiarę, o ile to zbyt wiele miejsca w naszej kochanej gazecie nie zajmie, bardzo proszę umieścić.

From Mrs. Harvey offered things:

women's fur coat	1	men's overcoat	2
		waistcoat	1
shirts	15	caps	3
wool pants		hat	1
hosiery	3	pyjamas	1
sweaters	2	pants	2
dress for child	1	shoes, pairs	2
women's dress	1	brasses	1

Dear Mrs. Harvey,

I wish to thank you with all my heart for your excessive kindness to our compatriots in Russia.

Knowing you did this for God's greater glory, I pray He will amply reward you.

With kind regards,
R. 22th of June 1942

Rev. Const. Pogłódek

Wielmożny Panie Redaktorze,

W pierwszą niedzielę lipca miałem nabożeństwo dla tych, co przybyli zdala . . .

Na mój apel, abyśmy jednym pensem okazali dowód pamięci o tych, co tam pozostali i którzy żyją w biedzie, obecni na nabożeństwie szeregowi, podoficerowie i oficerowie tak ich, jakoteż obsługującej ich kadry złożyli niezależnie od swych składek przy poborach kwotę £10 sh.2 d.6.

Prócz tego indywidualnie na moje ręce z przeznaczeniem na Rodaków w Rosji złożyli:

P. Wal. Stanisław, sierż. sh.10
P. Spal. Mieczyssław, plut. sh.2 d.6
a poprzednio jeszcze w końcu czerwca Siostra Kow. Jadw. ze Szpit. Nr. 2 kwotę sh.1 d.8 /jako kara za poruszanie tematów służbowych przy obiedzie/.

To wszystko razem czyni:
£10 sh.16 d.8

Kwotę tę w załączeniu przesyłam.

Z poważaniem

ks. K. Pogłódek

* * *

Ochotnicy do Armii Polskiej z Poł. Ameryki transport nr. 11, na skutek jednomyślnej zgody przekazują na Fundusz Pomocy Polakom w Rosji kwotę £5 — przeznaczoną dnia 28 czerwca b.r. z okazji imienin Prezydenta Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polskiej i Jej Naczelnego Wodza na polepszenie ich wiktu na terenie obozu przejściowego.

Dowódca transportu

* * *

Zamiast opłaty za bilety wstępu 1 Batalion Strzelców Podhalańskich złożył w przerwie koncertu urządzonego przez R.A.F. w L.: £8 sh.7 d.3 na otarcie łzy polskiej w Rosji.

* * *

Podhalański pluton pionierów poza normalnymi składkami miesięcznymi na Polaków w Rosji, samorzutnie złożył na ręce ks. kapelana W.: £1 sh.5 d.3 na ten sam cel.

* * *

Miast upominku imieninowego swemu D-cy, podhalański pluton pionierów złożył £1 /jeden/ na Polaków w Rosji.

* * *

Żegnając swego dowódcę ppłk. dypl. Albina H. oficerowie i szeregowi podległego Mu oddziału, składają kwotę £28.12—na Pomoc Rodakom w Rosji.

* * *

P. J. Lerski składa kwotę £5 na pomoc Polakom w Rosji i wzywa swoich kolegów, by w miarę możności poparli akcję "Polski Walczącej."

* * *

W załączeniu przesyłam Postal Order na kwotę £1 jako ofiarę na rzecz 'Pomocy dla Polaków w Rosji.

Stanisław W. ppor.

* * *

Zamiast prezentu imieninowego dla mego męża przesyłam £5 na pomoc dla Polaków w Rosji.

Łączę wyrazy poważania

Maria Przybytkowa

W załączeniu przesyłam £1 na Pomoc dla Polaków w Rosji.

W.G. z S.

* * *

Szanowny Panie Redaktorze,

Przesyłam w załączeniu Money Order na łączną sumę £13.1.0, otrzymaną dla Polaków w Rosji od:

Matki Przełożonej jednego z katolickich konwentów w Glasgowie	£7.1.0
profesora języka angielskiego J.M.	£.1.0
jednego z podoficerów Kursu Gimnazjalnego w Glasgowie	£1.0.0
Razem	£13.1.0

/słownie: trzynaście funtów i jeden szyling/

Kierownik Polskiego Ośrodka Szkolnego

* * *

Polacy przebywający w jednym z sanatoriów przesyłają 6-tą składkę w kwocie £3 na Pomoc Rodakom w Rosji. Powyższą kwotę prosimy przekazać do Polskiego Czerwonego Krzyża w Londynie.

Za ofiarodawców

Olczyk

* * *

Od trzech żołnierzy jako ekwiwalent za wypalone wbrew obietnicy papierosy, sh.6.

bomb. A.O., podchor. Z.N., bomb. A.C.

* * *

Jeden z czytelników-żołnierzy wystąpił samorzutnie z inicjatywą "Łańcucha ofiar."

Kochany Przyjacielu,

Jedni wołają: "Polakom w Rosji grozi druga ciężka zima wojenna. Pomóż dziś, by dar Twój nadszedł w porę."—inni: "Ratujcie ludność cywilną w Rosji. Śpieszcie się, do zimy mało czasu. To będzie walka o życie Polaków." i t.p., i t.p., a "POMOC" ta z naszej strony jak dotychczas jest znikoma, jeśli weźmiemy pod uwagę to, co winniśmy tym, którzy żyli w nędzy, cierpieniach i głodzie, w tym czasie, gdy nam się dobrze a czasem nawet bardzo dobrze powodziło.

Dziś w czasie tak strasznej wojny, jaka szaleje w Rosji cierpią oni dalej—lecz dzisiaj możemy im udzielić pomocy.

Pomóżmy im, przekazując na "Fundusz Pomocy Polakom w Rosji," chociażby najskromniejszą sumę poza małym "urzędowym opodatkowaniem," które też nie wszędzie istnieje.

Znając Cię Kochany Przyjacielu z wielkiej ofiarności proszę Cię tylko o podtrzymanie mojego "ŁAŃCUCHA POMOCY POLAKOM W ROSJI." Wyślij ten sam list /bez przepisywania/ swojemu najlepszemu przyjacielowi.

List ten wyślij zaraz—gdyż każda godzina jest droga.

Do listu tego dołącz przekaz pieniężny /postal order/ na taką sumę, jaką chcesz ofiarować. Nawet najmniejszą ofiarowaną sumą dużo dobrego możesz uczynić.

Mój przekaz pieniężny, na bardzo skromną sumę przesłany Ci w tym liście, wyślij zaraz do Redakcji "Polski Walczącej" /5, Portugal Street, London, W.C.2—Łańcuch Pomocy Polakom w Rosji/ bez żadnego dodatkowego pisma.

Zrób to wszystko w ten sposób, w jaki ja to uczyniłem, przesyłając list do Ciebie—a Przyjaciel Twój nie będzie miał żadnej wątpliwości.

Dziękuję Ci Kochany Przyjacielu w imieniu czekających pomocy Rodaków i w swoim, gdyż pewien jestem, że "ŁAŃCUCHA" tego nie przerwiesz, wiedząc iż przerywając go można przerwać nie jedno życie ludzkie nie udzieliwszy mu na czas pomocy.

Przyjaciel

Rozpoczął "Łańcuch" dnia 6 lipca 1942 st. sap. S.B., wysyłając 111 listów.

* * *

Do tej pory otrzymaliśmy: p. Boch. 5sh., p. K. Kierz. 5sh., bezimiennie: 1sh., 1sh., 2sh., 1sh., 1sh., 1sh., 1sh., 1sh., 2sh., 1sh., 1sh., 2sh. 6d.

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £254.4 /słownie dwieście pięćdziesiąt cztery funty, cztery szylingi/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £2,792.6.4½ /słownie dwa tysiące siedemset dziewięćdziesiąt dwa funty, sześć szylingów, cztery i pół pensa/ 108 pesetów hiszpańskich i 1 dolar kanadyjski.

Z życia obozów

Kurs pracy oświatowej

Z najbardziej zapadłych zakątków ziemi szkockiej i z jej najbardziej reprezentacyjnych miast wyruszyła fala ludzi w zielonych mundurach na jeszcze jeden kurs. Jechali do celu raczej niechętni, często zaskoczeni, przeważnie źli. Poco to znowu? Dlaczego akurat mnie wyznaczyli. Nie mieli nikogo lepszego? Robota ustanie, randka się wścieknie, dobre mieszkanie przepadnie. At, diabli nadali. Przetrwa się jakoś.

W hallu uniwersyteckiego domu przyjął ich gospodarz—tym razem Polak, wskazał pokój, zapytał o dane, odebrał przywiezione dokumenty. Zaroił się ów hall gwarem głosów przeróżnych, począwszy od głębokich basów skończywszy na tkliwych altach żołnierzy w mundurach niebieskich. Zadziwiły się mury, wychyliły z ram stare portrety, by dojrzeć intruzów zakłócających ich spokój. Co to za jedni i czego tu chcą. Czyżby mieli tak ważne tajemnice, że w obawie przed ich zdradzeniem, obcym i niezrozumałym językiem się posługują? A może to właśnie ich rodzinny dialekt, może inaczej nie potrafią?

Potrafią, ale nie chcą próbować, są jeszcze ciągle źli i niechętni. Rozjaśnił wprawdzie nieco ich twarze widok przydzielonych pokoi, których wygoda nie ustępowała najlepszym hotelom, poprawił humory znakomity obiad, w którym napróżno doszukiwać się można było posmaku szkockiej kuchni, ale ciągle jeszcze byli niepewni. Patrzyli na siebie lekkim zezem, badając jeden drugiego, albo jedna drugą, co za jedni i co o tym myślą. Byli w dalszym ciągu niepewni tego, co nastąpi dalej. Sylwetka komendanta kursu, rysująca się groźnie i jakże wyraźnie na tle innych uczestników, dopełniała obaw. Ten da szkołę, z kawalerzystami to nigdy nic nie wiadomo! Przecież dla fasonu gotowi duszę sprzedać.

Zadźwięczał przeraźliwie głos dzwonka wzywający na pierwszy wykład. Z bramy domu wypełznął sznur ludzkich postaci i milcząc, bez zapału, począł posuwać się na przód. Wykład był na uniwersytecie. Zapełniły się ławki zbudowane amfiteatralnie, zaszeleściły kartki papieru przygotowane na notatki, krzyżować się poczęły spojrzenia, ukłony ludzi znających się dawniej, chrząkania, jak przed niedzielnym kazaniem.

Z pierwszej ławki podniosła się wielka, znajoma już postać i głosem, który zapewne zdołałby obudzić zmarłych, zakomenderowała baczność. Na katedrę wszedł Generał Dowódca Korpusu, inaugurując kurs pierwszym wykładem. Przed oczyma mignęły krakowskie planty, gmach uniwersytecki i sylwetka prof. Mariana Kukiela na katedrę jagiellońskiej. Gdyby kto wtedy powiedział. . . . Kurs rozpoczął swój dwutygodniowy żywot.

A żywot ten był pełny, energiczny, zapalony i jakoś bardzo młody. Ta ostatnia cecha uwidaczniała się przede wszystkim w uśmiechu. Kurs był uśmiechnięty, a chwilami zupełnie radosny, nawet zanoszący się od śmiechu, zdrowego, przyjemnego, twórczego. Był jednocześnie młody i bardzo dojrzały. Postacie przygarbione rozprostowały plecy, oczy niespokojne nabrały jakiegoś innego koloru i jakiegoś spokoju, ludzie przestali patrzeć na siebie spodełba, zapanowała atmosfera życzliwości. Zielone mundury lądowców pomieszały się z niebieskimi lotników i świetliczarek, a ciemny granat jedynego marynarza przyciągał ku sobie nieodparcie wzrok niewiast polskich i szkockich. Kilkudziesięciu Polaków znalazło platformę porozumienia, znalazło harmonię i zadowolenie. Czy to nie niezwykły objaw? Całość ogarnięta, niczym jakąś przejrzystą zasłoną, opieką owego potężnego głosu wielkiego kawalerzysty, stanowiła obraz dobrej i rzetelnej pracy.

A pracy tej było co niemiara. Codziennie rano o 7.15 dzwonek natrętny i potwornie głośny wyrywał nas z dobrego snu. Potem przez cały dzień nie próżnował wzywając na przeróżne



P. Prezydent na Kursie Pracy Oświatowej

wykłady, zajęcia, pokazy, koncerty, przedstawienia. Milkł dopiero koło dziesiątej wieczór, zostawiając czas do północy na spacer nadmorski, lub niekończące się pogawędki i dyskusje.

Przed oczami uczestników kursu przewinął się film pasjonujący, którego zadaniem było nauczenie najlepszych sposobów pracy na niwie oświaty wojskowej i polskiej propagandy. Aktorami tego filmu byli specjaliści, fachowcy, czasami nowoodkryte na firmamencie oświaty, gwiazdy młode i jasno błyszczące. Zdarzyli się i statyści, którym niechcący powierzono główne role, ale ci nie czynili wiele złego, bo przyjmował ich uśmiech dobrotliwy i pełen wyrozumiałości. Niech się wygada, szkoda go przecież, wszak tyle lat na to pracował. . . . !

Obrazy filmu były różne, tworząc doskonałą całość. Drabina hierarchii wojskowej, organizacji centralnej naszej pracy, wykład Tj. łamany przez różne liczby, rozpoczął cykl owych obrazów. Usłyszeliśmy potem o naszych zadaniach w polu, o prowadzenia pracy zawodowej w wojsku, o możliwościach takiej pracy, o tym jaką rolę winna w naszej pracy odgrywać muzyka, nie jako tylko propagandowy czynnik zewnętrzny, ale także i wychowawczy, o organizowaniu zespołów muzycznych, o urządzaniu bibliotek i należytym ich wykorzystywaniu.

Znany i powszechnie lubiany prelegent, prawdziwa gwiazda wśród innych mniejszych "gwiazdeczek," wkładał w oświatowe głowy niezbite prawdy psychologii i socjologii, które winny mieć zastosowanie w naszej pracy w terenie. Planowanie tej pracy, sprawa tak bardzo trudna szczególnie wśród Polaków, sprawa przygotowywania i wygłaszania pogadanek, o tym jak zachować się wobec audytorium o nierównym poziomie i zainteresowaniach. Rola żywego słowa, tak bardzo często niedoceniana przez poszczególnych, decydujących ludzi, była mottem owej pogadanki: "Dzisiaj można powiedzieć, że władza jest w rękach tych, którzy umieją mówić . . . Zastanówmy się kto może przemawiać? Każdy kto nie ma jakiejś zasadniczej wady w wymowie." Do wiadomości i zapamiętania wszystkim tym, którzy myślą inaczej! Sztuka prowadzenia dyskusji i zebrań dyskusyjnych, podczas których każdy ma możność wyrażania swojej opinii, a przez to realizowania zasadniczych praw demokratycznych była przedmiotem osobnego wykładu tego samego prelegenta.

Aktor się zmienia. Na scenę wychodzi inny ulubieniec publiczności, mówiący o teatrze wojskowym. Dostaje brawa już przy wejściu na estradę. Znamy go z teatru i z doskonałego pióra. Mówi ciekawie i dobrze, lecz tempo jest takie zawrotne, że słowa chwilami zlewają się w jedną całość, miało by się ochotę poprosić, ażeby raczej to wszystko napisał.

Jego patron niejako, londyński redaktor, pokazuje nam rozwój wojskowej prasy, kłopoty z nią związane, stały wzrost nakładu, tematy najbardziej interesujące, apeluje o współpracę. Trafia na dzień trudny, bo przeładowany wykładami, a prócz tego dostaje godzinę popołudniową, która z reguły jest senna i klejąca oczy najpilniejszym słuchaczom. Biedny prelegent, sam zmordowany dwunastogodzinną podróżą w tłoku i niewygodzie, wyjeżdża rozczarowany. Kurs potem żałuje straconej okazji do ciekawej i pożytecznej dyskusji—lecz nie był w stanie! Nawet sam Komendant rozgrzesza nas wszystkich, zresztą nie wypada mu inaczej, bo przecież jego oczy były także . . . przymknięte. Podobno to pozwala na skupienie uwagi. . . .

Nauczyliśmy się jak wykładać język angielski, jak przemawiać przez radio do niewdzięcznego instrumentu zwanego mikrofonem, który stoi głuchy i niemy przed denerwującym się mówcą, jak organizować sobie pracę propagandową i jak lepić z kartonu dekoracje do świetlic.

Ministerstwo Informacji usiłowało, raczej bez powodzenia, przekonać nas, że Polskie Radio jest instytucją niemal doskonałą, a inny prelegent, głosem, jakże dobrze znanym z Warszawy, opowiadał o wpływie radiofonii na nasze życie nie tylko jako narodu, lecz także jako jednostek. Ten nas bardzo przekonał i bardzo zachęcił. Okazało się, że wdzięk radiowy głosu łączy się z urokiem osobistym, że słusznie wzbudza w słuchaczu sympatię do nieznanej osoby mówiącego. Stworzenie nowej świetlicy na nowym miejscu, prawie z niczego, parę słów o życiu Towarzystwa Polsko-Szkockiego dopełniły reszty. Reszty wykładów. Luki między niemi zapełniły imprezy. Imprezy dające prócz przyjemności wiele nauki.

Stefan Żeromski—tak, on sam—zapełnił po brzegi niewielki szkocki salonik, dotarł do mózgów i serc, poruszył gamę uczuć, rozbudził tęsknotę i żal. Interpretator, współpracownik Jaracza, dał nam ucztę artystyczną, rozkosz duszy, odprężenie, zapełnił myśli czymś nierzeczywistym, dalekim i bardzo drogim. Wróciliśmy na ten wieczór do Polski. Koncert fortepianowy muzyki polskiej, dwukrotna próba słynnego Brains Trustu, przedstawienie teatralne, na którym siedzieliśmy przykuci do krzeseł, zasłuchani, wzruszeni i widzący siebie samych, przedstawienie, któremu na imię "Droga, która trwa," napisane, odczute i odegrane przez amatorów-artystów, noszących żołnierskie mundury—oto niektóre z owych imprez.

Dzień polski w miejscowej szkole, polegający na wygłoszeniu krótkich, jedno-godzinnych pogadanek o naszej historii, położeniu geograficznym, o naszych piosenkach i zwyczajach, był bardzo udany. Nad wszelkimi wątpliwymi kwestiami toczyły się gorące, zajadłe dyskusje w grupach, na forum i nawet w czasie przerw. Kurs zaszczycił swą obecnością Pan Prezydent Rzeczypospolitej, na czas jego pobytu przypadła właśnie dyskusja. Szlify generalskie, powaga chwili, obecność tylu dostojników kneblowała usta najśmielszym. Z trudem ktoś wybrnął i przełamał lody, z ogromnym trudem. . . .

Czternaście dni przeleciało niewiarygodnie szybko; zdawało się, że przyjechaliśmy dopiero wczoraj, a już trzeba było myśleć o powrocie. Ludzie zżyli się z sobą, pomimo różnicy wieku, stopni, zainteresowań. Przyzwyczaili się uważać dowcipy i śmiech jednej ze świetliczarek za rzecz całkiem naturalną, sylwetkę owego groźnego kawalerzysty, który okazał się uosobieniem łagodności i serca, za sylwetkę swego dowódcy, opozycję niektórych za normalny, niegroźny fason, przyzwyczaili się do intensywności wykładów i prac, polubili środowisko. Najbardziej niechętni na początku, stali się największymi entuzjastami kursu. Podczas ostatniej dykusji odezwali się nawet ci, którzy dotychczas milczeli jak zaklęci. Atmosfera owego "jeszcze jednego wojskowego kursu" otworzyła im usta. Otrzymali potem zaświadczenia, takie sobie świstki papieru—widziałem, że chowali je skrzętnie i bardzo starannie. Pamiątka, czy może sentymentalność?

Kurs pracy oświatowej spełnił swoje zadanie. Dał dużo wiedzy, doświadczenia, pobudził do pracy myśli, otworzył wrota wyobraźni, kazał jej tworzyć, współpracować z motorem ludzkich czynów—inicjatywą. Wytyczył drogi dalszej pracy i pokazał na swoim przykładzie, że można świetnie połączyć pożyteczne z przyjemnym, że można z uśmiechem na ustach przystępować do najtrudniejszych zadań. To też, gdy ostatni, a zarazem główny nasz prelegent wezwał, byśmy w pracy swojej nie zapominali o uśmiechu i sercu—podjęliśmy to wezwanie i z mocnym postanowieniem wprowadzenia go w życie opuściliśmy uniwersyteckie ławki. W hallu zaś naszego wspólnego mieszkania długo, niemal ze łzami w oczach ściskaliśmy sobie wzajemnie dłonie.

Kurs pracy oświatowej spełnił swoje zadanie już dzisiaj.

ZYGMUNT NAGÓRSKI jr.

DZIAŁALNOŚĆ LOTNICTWA POLSKIEGO W WIELKIEJ BRYTANII

za czas od 1—10.VII.

Lotnictwo myśliwskie	Lotnictw bombowe	
pewnych — 2	Ilość wypraw: 4	Łączna ilość samolotów 99
	Główne cele: Brema. Wilhelmshafen. Polskie Dywizjony Bombowe kładły miny na wodach nieprzyjacielskich	
Razem od czasu przybycia do Anglii do 10.VII.1942.		
zestrzelono samolotów nieprzyjaciela: pewnych — 463	Łączna ilość samolotów: 2987	

Skrzynka pocztowa

LIST LOTNIKA

Szanowni Panowie z "Polski Walczącej,"

Niedawno wysłałem do Panów list, w którym zawiadomiłem Panów o śmierci któregoś z Kolegów. Pisałem, że wskazane jest zaprzestanie wysyłania pisma Panów na jego adres. Tak się na ogół czyni.

Skoro otrzymają Panowie ten mój list proszę wierzyć, że i mnie coś poważnego się przydarzyło. Są jednak dwie możliwości. Albo zginąłem, albo nie powróciłem. Jakakolwiek sytuacja zaistnieje list ten wyślą Koledzy moi.

Piszę go z góry, zawczasu—bo "nikt nie wie ani dnia, ani godziny" swojej. Piszę go i dlatego, by życzeniom moim stało się zadość. Kiedyś już pisałem, jak wysoko sobie cenię posiadanie kompletów, tego żołnierskiego pisma. Pisma, które jest fotografią nieomal życia wojska polskiego na obczyźnie. Otóż, żeby z byle powodu nie przerwać ciągłości w egzemplarzach posiadanych po prostu pragnę zaznaczyć, że mimo mej nieobecności, bądź na wyspie czy na świecie, nie przestaję być prenumeratorem "P.W."

Tak! Proszę odtąd wysyłać ją pod adresem: Mr. M. N., c/o Rev. Watson, "Long Leys," Singleton, near Blackpool, Lancs.

Jest to adres poczciwej Rodziny, która opiekuje się tym, co tu w Anglii zostawiłem. Zapewniali mnie, że wyślą to wszystko do Polski—do moich Najdroższych, którym to przekazać pragnąłem.

Prenumeratę do końca roku 1942 wyrównałem, sądzę, że już niewiele dłużej ponad ten termin będą się Panowie trudzili wydawaniem swego pisma na obczyźnie. Jestem szczerze przekonany, że zarówno ta uprzejma Rodzina jak i Panowie życzenia moje spełnią. Życzę rychłego powrotu do Wolnej, Szczęśliwej Ojczyzny.

Szczęść Wam Boże!

Maksymilian N. ppor. pil.

DWIE UWAGI

Szanowny Panie Redaktorze,

Z wielkim zainteresowaniem przeczytałem artykuł p. Fryderyka Mally'ego w nrże 25 "Polski Walczącej" p.t. "Możliwość okrążenia Niemiec." Nie mogę się jednak powstrzymać od krótkiego komentarza.

Autor porusza niezmiernie doniosłą sprawę—inwazji kontynentu. "Uważam, że ten moment jest bliski"—pisze. Do wniosku tego dochodzi po stwierdzeniu, że armia niemiecka "poza doskonałym technicznym wyposażeniem posiada wielkie niedociągnięcia w wyszkoleniu rezerw, a zwłaszcza królowej pola walki—piechoty." Dalej zaś pisze, że Niemcy "licząc widocznie na dalsze trwanie dotychczasowej bierności zawojowanych krajów," "wszystko skierowali na wschód, ogołociwszy kierunek zachodni prawie zupełnie z dobrych wojsk i środków." Uważa więc za konieczne wyciągnięcie konsekwencji z tego stanu rzeczy, i dokonanie uderzenia "w kilku miejscach wybrzeża Francji, Belgii lub Holandii. Ewentualnie dzieje się to równocześnie od południa, gdzie lądują we Włoszech wszystkie siły angielskie, zbędne przy obecnej obronie Afryki północnej. Równocześnie z tymi desantami wojsk sprzymierzonych na lądzie Europy, powstają narody podbite raptownie oraz wszystkie naraz przeciw okupantom." I kończy swoją zasadniczą myśl twierdzeniem, że "to ogólne uderzenie powinno nastąpić obecnie, lub stanowczo przed nową kampanią zimową," "gdyż jedynie szybkie zwycięstwo odniesione nad państwami Osi, może uratować resztki Europy."

Wydaje mi się, że przedstawiłem—w wielkim skrócie—wiernie, tok myśli artykułu p. F. Mally'ego. W artykule tym jest sporo słusznych myśli, ale trochę w nim tego, co Anglicy określają nazwą "*wishful thinking,*" a co po polsku nazywa się "pobożnymi życzeniami." Uważając zaś, iż nie ma dla nas bardziej niebezpiecznej strawy, niż karmienie się pobożnymi życzeniami, pozwoli autor, że opatrzę jego wywody kilku krytycznymi, i nieco sceptycznymi, uwagami.

Nie będę z nim dyskutował na temat np. wyszkolenia rezerw armii niemieckiej, gdyż nie posiadam odpowiednich materiałów, którymi on widocznie rozporządza, ale wydaje mi się, że należy raczej być ostrożnym w stawianiu tak ważnych opinii. Bo—jak dotychczas—armia niemiecka nie wykazała, by wyszkolenie jej stało na niskim poziomie. Tak samo jak wartość jej dowódców i jakość sztabów.

Uważam za największe niebezpieczeństwo i za najbardziej niebezpieczny w następstwach błąd, lekceważenie przeciwnika i niedocenianie jego istotnych sił. A przyzna mi każdy, że tego lekceważenia jesteśmy świadkami od początku wojny do chwili obecnej. Nie jesteśmy dziećmi i mamy dość siły do pogodzenia się z—nawet najbardziej przykrą—rzeczywistością. Ale niesłychanie niebezpiecznym jest na niczym nieoparty—optymizm. Ten optymizm, przed którym—kilka tygodni temu—tak silnie przestrzegał obywateli Stanów Zjedn., Prezydent F. D. Roosevelt. A więc człowiek mający napewno więcej danych i znający lepiej istotny stan rzeczy, niż to jest dostępne dla mnie.

Ale nie sięgajmy tak daleko—dajmy spokój prez. Rooseveltowi. Chcę zwrócić uwagę na inne źródło—o wiele bliższe i co tydzień dostępne dla każdego za 1 sh.—a mianowicie na jeden z najpoważniejszych tygodników angielskich, znakomicie redagowany organ gospodarczy "*The Economist.*" Warto go, naprawdę, czytać. Otóż w ostatnim zeszycie tego pisma artykuł wstępny p.t. "*On to Fortune*" poświęcony jest przeglądowi obecnej sytuacji. I wnioski autora w "*The Economist*" nie są—niestety—tak różowe. Zacytuję tutaj kilka zdań najlepiej charakteryzujących opinię "*The Economist.*" Pisze on m.i.: "Jest jednak także odwrotna strona medalu. Chiny chwieją się na skutek ciężkich ran zadanych im w żywotnych punktach. *Niemcy są wciąż niezmiernie potężnie uzbrojone.* /Germany is still immensely powerful in arms./ Bitwa w Libii wciąż jest nierozstrzygnięta. Największe bitwy w Rosji dopiero nadejdą. Nowy atak w rejonie Charkowa rozpoczął się. Japonia jest silnie umocniona /entrenched/ na wschodzie Azji i na morżach południowych. *Nadmiar optymizmu byłby obecnie tak samo szkodliwy, jak szkodliwe było dwa i pół lat temu zadowolenie z siebie. To nie jest jeszcze koniec. Koniec nie jest jeszcze widoczny. Ci ludzie, którzy rozprawiają o szybkim końcu wojny w ciągu kilku najbliższych miesięcy, marnują tylko energię. To mogło by zaistnieć jedynie przez zawarcie pokoju kompromisowego z Niemcami, co jest przecież wykluczone, albo przez załamanie się wewnętrzne Niemiec, które chociaż teoretycznie nie niemożliwe, nie powinno nigdy być przesądzane z góry. Ale, chociaż to jeszcze nie koniec, to może być początek końca. Elementy zwycięstwa są obecnie w naszych rękach.*"

Muszę się przyznać, że wywody "*The Economist*" trafiły mi bardzo do przekonania. Nic bardziej fałszywego, niż łatwy optymizm. Dalecy jesteśmy od niedoceniania wartości wniesionych przez kampanię wrześniową, ale *jakże inaczej* mogłą wyglądać wielkość strat wroga, o ileż bardziej wydajny i celowy mógłby być wysiłek polskiego żołnierza i krew przelana przez niego, gdybyśmy bardziej poważnie obliczali siły wroga, gdybyśmy z tragiczną lekkomyślnością i fałszywym optymizmem nie zlekceważyli jego przygotowań. Więc nie powtarzajmy starych błędów, nie dajmy się prowadzić w sferę "pobożnych życzeń." Bo takie rzeczy potem mszczą się tragicznie. Lepiej być nadmiernie ostrożnym, lepiej *przeceniać*, niż *niedoceniać* sił wroga. Bo w pierwszym wypadku można mieć jedynie przyjemną niespodziankę, zaś w drugim wypadku tragiczne rozczarowanie.

Nikt z nas nie posądza Churchilla, że nie pragnie w tym roku wygrać wojny. Ale widzimy, jak bardzo ostrożny jest on w stawianiu jakichkolwiek dat, przepowiadaniu bliskich terminów zwycięstwa. Czuje on straszliwą odpowiedzialność ciążącą na jego barkach, wie, że nie wolno mu jednego—ryzykowania przegrania wojny. Jedna Dunkierka się udała—druga byłaby śmiertelna. Hitler tym razem nie powtórzyłby swojego błędu z 1940 roku. O to możemy być spokojni.

A czy p. Mally uważając "stanowczo"—jak pisze—że inwazja powinna nastąpić obecnie lub przed nową kampanią, brał pod uwagę jaka jest istotna sytuacja w tonażu floty statków państw Sprzymierzonych niezbędnych do takiej olbrzymiej operacji? Zwracam uwagę na zeszyt majowy świetnego miesięcznika amerykańskiego "*Fortune,*" gdzie znajdują się niezmiernie szczegółowe i wprost rewelacyjne wywody na temat *shipping'u*—tej pięty achillesowej Aliantów. /Nawiasem mówiąc w tym samym numerze "*Fortune*" znajduje się długi znakomity artykuł roztrząsający całą kampanię rosyjską, podający niezmiernie plastyczne mapy i schematy działalności obu stron—też radzę przeczytać./

Tak samo—moim zdaniem—nie należy być zbyt pochopnym w organizowaniu *powstania* ludów Europy w okupowanych krajach. I znowu muszę się powołać na lekturę "*The Economist*" w ostatnim zeszycie którego znajduje się doskonały artykuł p.t. "*Underground Europe*" omawiający rozwój podziemnej pracy w okupowanych krajach. Z artykułu tego widać jasno, że na pomoc rewolty w okupowanych krajach możemy liczyć dopiero w ostatniej chwili, już *po* sukcesach odniesionych na polach bitew, *po* złamaniu przez Sprzymierzonych potęgi militarnej Niemiec. Trzeba sobie zdawać sprawę z tego, co oznacza przedwczesna—chociaż by o jeden tydzień—rewolta Europy przeciwko Niemcom. Przecież to byłoby równoznaczne z rzezią setek tysięcy *bezbronnych* ludzi. A do tego—nie łudźmy się—Niemcy nie będą ani chwili, w walce decydującej, wahać się z użyciem takich n.p. środków, jak gazy trujące. A nie trzeba chyba tłomaczyć co to oznacza, wobec mas pozbawionych masek gazowych. Jeśli więc boimy się dla Europy nowej zimy, to dziwi mnie, że nie widzi się niebezpieczeństwa—sto razy większego—jakie przedstawia zbyt pochopnie wywołana rewolta przeciw okupantom.

Nie chciałbym być źle zrozumiany. Modlę się stale, prosząc Boga o Łaskę rychłego powrotu do Kraju, o możność zobaczenia najdroższych osób tam pozostawionych. Ale to jest całkiem co innego modlitwa, nadzieja—co innego przesadny—optymizm. Gen. Sikorski poruszając temat "drugiego frontu" wyraża się zawsze w trybie warunkowym, uzależniając stale—we wszystkich publikowanych w prasie oświadczeniach—tę operację od zaistnienia szeregu czynników natury militarnej, zaopatrzeniowej i t.p.

Poruszyłem—tak obszernie—niektóre ustępy artykułu p. Mally, gdyż uważam je za niezmiernie charakterystyczne. I niebezpiecznie optymistyczne.. Powtarzam co powiedziałem na początku—nie jesteśmy dziećmi. Czytelnicy "Polski Walczącej" to wszystko żołnierze, którzy w tej wojnie przeszli niejedno. Nie boją się oni napewno prawdy—chociażby była nawet ciężka. Natomiast wprost żywiołowo nie znoszą taniego optymizmu, "pobożnych życzeń," po których tylko przychodzą bolesne rozczarowania.

* * *

A teraz chcę się cofnąć o jeden numer "Polski Walczącej" /nr. 24/ wstecz i napisać krótką uwagę na marginesie ślicznego fotomontażu Jana Polińskiego, zatytułowanego "Artyleria Przeciwlotnicza." Serdecznie jestem wdzięczny Redaktorowi "Polski Walczącej" za rozpoczęcie cyklu fotomontaży od tej właśnie—bodaj, że najmłodszej w naszych Siłach Zbrojnych—broni. I niestety tak niedocenianej i lekceważonej przed wojną w Polsce /zresztą nie tylko w Polsce!/. Pragnę skorzystać z okazji zamieszczenia tego fotomontażu, by przypomnieć piękną rolę jaką ponad czterysta dział artylerii przeciwlotniczej odegrało w kampanii wrześniowej. Działalność jej w tej walce przedstawiłem—nieco obszerniej—na łamach miesięcznika "Myśl Lotnicza" w zeszycie z lutego br. Ciekawych więc tam odsyłam.

Tutaj jedynie pragnę zaznaczyć znaczenie tej broni i *wielką przyszłość*, jaka przed nią stoi. Chociaż niestety trafiają się jeszcze niedowiarkowie. A zapomnieli oni już widocznie doświadczenia kampanii wrześniowej, kiedyto tak straszliwy był głód artylerii przeciwlotniczej, zarówno w opl armii, jak i obronie ważnych punktów kraju. Jak radośnie witano pojawienie się każdego działa, każdej "czterdziestki."

Musimy uczyć się z doświadczeń jakie wojna nam przynosi. Nigdzie konserwatyzm nie jest tak zgubny /a niestety tak zakorzeniony!/ jak w wojsku. Należy o tym pamiętać. I nie wolno kroczyć starymi ścieżkami, jedynie dlatego, że są wygodne, bo już wydeptane. Nie wolno obawiać się "nowinek."

Stefan Żurowski

W SPRAWIE PISOWNI PEWNYCH NAZW NIEMIECKICH

Szanowny Panie Redatorze,

W 25-ym numerze b.r. redagowanego przez Pana tygodnika znalazłem artykuł p.t. "Lubeka—Rostock—Kolonia," przy czym nazwa "Rostock" została podana w wersji niemieckiej.

Na kilka lat przed wojną sprawa badań nad dziejami zachodniej Słowiańszczyzny bardzo się posunęła naprzód, zwłaszcza na uniwersytecie Poznańskim. Wychodziły książki, mapy, przyczynki. Wiele niespodzianych odkryć dokonano w zakresie ustalania brzmienia nazw na wschodnich terenach Rzeszy. Te badania doprowadziły również do stwierdzenia, że "Rostock" jest niemiecką wersją słowiańskiej nazwy "Roztoki."

Wydaje mi się, że po tym ustaleniu winno się używać w języku polskim nazwy "Roztoka," choćby to nie miało żadnego innego znaczenia ponad to, że język polski ma dla nazw miejscowości w Niemczech, swoje własne nazwy. W artykule pojawia się również nazwa "Elba" na rzekę Łabę.

Józef Kisielewski

Komunikaty

W SPRAWIE POSZUKIWANIA RODZIN W ZSRR

Wobec stale napływających, zbyt ogólnikowych—mimo licznych wyjaśnień—próśb o odszukanie rodziny w ZSRR, P.C.K. wyjaśnia, że brak ścisłych danych o poszukiwanej osobie utrudnia lub uniemożliwia ustalenie jej adresu.

Dla podjęcia poszukiwania pożądane są przede wszystkim następujące dane: imię, nazwisko, wiek, zawód, ostatnie miejsce stałego zamieszkania przed wojną, oraz imiona rodziców poszukiwanego. Jeśli idzie o kobiety zamężne, należy podawać również ich nazwiska panieńskie, imiona i wiek przebywających z nią razem dzieci, oraz imię, zawód i obecne miejsce pobytu męża. Poszukując wojskowych należy podawać: imię, nazwisko, wiek, stopień wojskowy, rodzaj broni, oraz imiona rodziców poszukiwanego. Ważną wskazówkę stanowi podanie posiadanego ewentualnie, choćby nieaktualnego już adresu w ZSRR, oraz daty z jakiej ten adres pochodzi.

Osoby poszukujące są proszone o informowanie P.C.K.o każdorazowej zmianie swego adresu w celu umożliwienia przesłania im wiadomości, które dla nich nadejdą.

* * *

W SPRAWIE PACZEK DO Z.S.R.R.

Biuro dla Spraw Rodzin Wojskowych komunikuje, że wedle wiadomości—nadanej dnia 25 czerwca br. przez Attaché Wojskowego w Kujbyszewie—Dowództwo Armii Polskiej w Rosji otrzymało transport paczek indywidualnych /standaryzowanych/ dla rodzin wojskowych w Rosji, zestawionych i zakupionych za pośrednictwem Biura dla Spraw Rodzin Wojskowych z końcem ubiegłego roku. Paczki te są obecnie rozsyłane adresatom. Biuro dla Spraw Rodzin Wojskowych nie będzie rozsyłało specjalnych zawiadomień do nadawców paczek o powyższym.

* * *

W SPRAWIE OSÓB PRZYBYŁYCH Z ZSRR DO IRANU

Wobec licznych zapytań o osoby przybyłe z ZSRR do Iranu, P.C.K. wyjaśnia:

P.C.K. nie otrzymał jeszcze ani całkowitego, ani częściowego, obszerniejszego wykazu osób przybyłych z ZSRR do Iranu.

Wszelkie, stopniowo nadsyłane informacje z Iranu P.C.K. przekazuje bezwłocznie zainteresowanym, nie może natomiast odpowiadać na wszystkie zapytania o osoby, co do których nie nadeszły jeszcze wiadomości. P.C.K. prowadzi ewidencję wszystkich zapytań i czyni starania o uzyskanie potrzebnych wiadomości, zapytania te muszą, z powodu trudności pozostawać bez odpowiedzi.

W korespondencji do P.C.K. w sprawie poszukiwań i pomocy dla osób w ZSRR uprasza się o wyraźne zaznaczanie w adresie do P.C.K. "Wydział Pomocy Polakom w ZSRR," w odpowiedziach zaś o powoływanie się na datę i liczbę pisma P.C.K.

* * *

KOŁO ŚLĄZAKOW CIESZYŃSKICH

Zarząd Koła Ślązaków Cieszyńskich wzywa wszystkich Kolegów, którzy są urodzeni na Śląsku Cieszyńskim i tam przynależni, a nie podali jeszcze swych danych osobistych do zarządu Koła, by raczyli je nadesłać. Wezwanie dotyczy osób cywilnych jak i wojskowych. Potrzebne są: data i miejsce urodzenia, przynależności, zawód, ostatnie miejsce zatrudnienia i zamieszkania, obecny adres, Listy adresować: Sekretariat Koła Ślązaków Cieszyńskich, 91, Queen's Court, Queen's Way, London, W.2.

PODZIĘKOWANIE

Pragnę wyrazić serdeczne podziękowanie p. ppor. M.D. za miłą pamięć o dniu imienia Jego Matki i moim oraz życzenia wyrażone w "Polsce Walczącej" Nr. 21, str. 6.

Elisabeth Wallace

Rozpowszechniajcie "POLSKĘ WALCZĄCĄ"

SPIS RZECZY

WYDAJE BIURO PROPAGANDY I OŚWIATY MSWOJSK.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej—13-ej.
Przedruk dozwolony tylko za podaniem źródła.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wyłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.15 0d. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy i osób—2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for the "Polska Walcząca," by St. Clements Press (1940), Ltd., Portugal St., Strand, W.C.2.